

GARNIZON

1 | 2020

MAGAZYN ORYGINALNY



Lefty & Apartamenty **GARNIZON**

Dobry wieczór!
W GARNIZONIE

SPIS TREŚCI

POSTACI	4
Wywiad z Magdaleną Kalisz (Sztuka Wyboru)	
CO NOWEGO W GARNIZONIE?	10
Przegląd nowych lokali usługowych	
POZNAJMY SIĘ	14
Badminton w Garnizonie	
OBLICZA WRZESZCZA	18
Kolaż zwany Wrzeszczem	
SMAKI GARNIZONU	22
Lato na talerzu	
ŚLADAMI HISTORII	26
Sport w koszarach	
LITERACKI GARNIZON	30
Garnizon - impresje Pawła Huellego	
SZTUKA WOKÓŁ NAS	36
„Szarża”, rzeźba z niespodzianką	
Z BLISKA	38
Kampus - studenckie oblicze Garnizonu	
HYDE PARK	41
Felieton gościnny Ewy Piątkowskiej	

Witaj, Drogi Czytelniku!

Oddajemy w Twoje ręce pierwszy numer kwartalnika „Garnizon”.

Garnizon, pojmowany jako zrewitalizowana przestrzeń w kwartale wrzeszczańskich ulic Słowackiego, Chrzanowskiego, Szymanowskiego i alei Grunwaldzkiej, to dziś jedno z najbardziej charakterystycznych i dynamicznie rozwijających się miejsc w Gdańsku. Uznaliśmy, że ta część miasta w swym nowym wcieleniu rozwinęła się już na tyle, że zasługuje na własne oryginalne wydawnictwo.

Chcemy, by nowy magazyn był taki, jak nasz Garnizon właśnie – przyjazny, różnorodny i inspirujący. Nowoczesny, a jednocześnie zachowujący szacunek do swoich kontekstów historycznych i urbanistycznych. Z artystycznym pierwiastkiem i duchem przedsiębiorczości. Doceniający dobre sąsiedztwo i radość życia. Wciąż zmieniający się na lepsze.

W każdym wydaniu przedstawimy Ci nietuzinkowe postacie współtworzące codzienne życie Garnizonu. Opiszemy od kuchni działające tu instytucje i popularne lokale, odślonimy kulisy powstania ciekawych obiektów, nie zapomnimy wspomnieć o wszelkich nowinkach, a także opowiemy o toczącym się tu życiu kulturalnym.

Łamy naszego kwartalnika będą otwarte dla wszystkich, którzy czują chęć podzielenia się swoimi pomysłami. Na Twój głos czeka specjalny adres redakcja@garnizon.pl, pod który można przysyłać swoje uwagi, opinie, życzenia i propozycje tematów. Ponadto w ramach cyklu Hyde Park każde kolejne wydanie „Garnizonu” zawierać będzie gościnny felieton, impresję czy anegdotę autorstwa różnych postaci, które możesz kojarzyć z ulicy, lubianej kawiarni czy sklepu.

Co dla nas szczególnie ważne, chcemy też w szerszym kontekście pisać o Wrzeszczu – wielobarwnej, nietuzinkowej i tętniącej życiem gdańskiej dzielnicy o bogatej historii i wielu nieoczywistych obliczach. Właśnie dlatego już w pierwszym wydaniu gościmy na naszych łamach mistrza Pawła Huellego, autora o międzynarodowej sławie, a jednocześnie zachowującego w swojej twórczości literackiej niestabnący sentyment do Wrzeszcza i Strzyży. Do współpracy zaprosiliśmy również innych autorów i twórców mocno związanych z dzielnicą, którzy wzbogacą magazyn swoją wiedzą, talentem, pasją i pozytywną energią. Wszystko po to, by pokazać, że lokalna tożsamość to coś, co warto pielęgnować!

Życzymy zatem przyjemnej lektury, a przy okazji - wspaniałego lata!

Zespół redakcyjny

HOSSA

Grupa Inwestycyjna Hossa S.A.
ul. Władysława IV 43
81-395 Gdynia



Redaktor naczelny: PAWEŁ DURKIEWICZ | Wydawca: JUSTYNA GLAZAR
Projekt okładki: MAGDALENA PESZKOWSKA-BEDNARCZYK | Skład: ACROBAT.COM.PL
redakcja@garnizon.pl | reklama@garnizon.pl | www.garnizon.pl

sztuka wyboru

Już od 5 lat Sztuka Wyboru łączy w sobie kawiarnię, księgarnię, galerię sztuki i sklep z polskim wzornictwem, będąc jednym z najbardziej znanych i charakterystycznych punktów Garnizonu. Przez ten czas stała się jednym z chętniej odwiedzanych ośrodków kultury w Gdańsku. Na fenomen tego miejsca zwracały uwagę sławy polskiej literatury, które chętnie przyjeżdżają tu na spotkania autorskie, a w inspirującym klimacie pełnym twórczych dialogów dobrze odnajdują się też goście spoza artystycznego świata.

RZUCAM SIĘ
Na GłęBoKA
Wode,
 BY SPRAWDZIĆ, CZY PRZEŻYJĘ

Za sukcesem tego przedsięwzięcia stoi zespół pasjonatów, z motorem napędowym w postaci Magdaleny Kalisz. Magda to z wykształcenia prawniczka i amerykanistka, ale przede wszystkim niespokojny duch, pasjonatka sztuki nowoczesnej i nieustrudzona wędrowniczka, która na własnej skórze poznała uroki życia w podróży. Po swojej długiej odysei, obejmującej ponad 60 krajów na wszystkich kontynentach, zakotwiczyła w Gdańsku. Tworząc i zmieniając Sztukę, nadal czerpie inspiracje z całego świata.

PAWEŁ DURKIEWICZ: Wróćmy pamięcią do 2014 roku. Jak doszło do tego, że Magda Kalisz, rodem elblązanka, mieszkanka Warszawy, a sercem globtroterka hardkoro-wa, zaczęła tworzyć w Garnizonie coś, co dziś znamy jako Sztuka Wyboru?

MAGDALENA KALISZ*: To naprawdę już sześć lat? Wszystko zaczęło się, gdy mój partner i wspólnik Paweł Szopowski zauważył w „Gazecie Wyborczej” ogłoszenie. Grupa Inwestycyjna Hossa zaprosiła w nim potencjalnych partnerów do zgłaszania koncepcji zagospodarowania powierzchni w rewitalizowanych zabudowaniach dawnych koszar we Wrzeszczu w ramach unijnego programu JESSICA (ang. Wspólne Europejskie Wsparcie na rzecz Trwałych Inwestycji na Obszarach Miejskich – przyp. red.). Wytyczne były raczej oszczędne, co świadczyło o tym, że deweloper był mocno otwarty na to, co zaproponujemy. Szybko zdecydowaliśmy, że spróbujemy swoich sił.

To, że w ogłoszeniu była mowa o Gdańsku, było dla Ciebie dodatkową motywacją?

Faktem jest, że, zawsze miałam w sobie sympatię do miast nadmorskich, portowych. Kręciło mnie to. Jak wiesz, swego czasu dość dużo podróżowałam po świecie i zdarzyło mi się mieszkać w bardzo różnych zakątkach globu, jednak zawsze zależało mi na tym, aby były to miejsca ładnie położone, przeważnie właśnie nad morzem czy oceanem, czasem również w górach. Wcześniej

żyłam w Warszawie, która bardzo mnie męczyła swoimi wielkomięskimi ograniczeniami. To miasto z trudną architektoniczną przeszłością, mocno skrzywdzone na przestrzeni ostatnich dekad, zwłaszcza w latach 90., gdy polski kapitalizm raczkował, a przestrzeń miejska zmieniała się w szybkim tempie, niestety nie zawsze na korzyść.

W swoją wielką podróż, którą nazywasz emigracją nomadyczną, wyruszyłeś w 2004 roku. Wcześniej miałeś inny pomysł na życie - przyznaj, że dość konwencjonalny - zdobyłeś w stolicy wykształcenie prawnicze...

...A po studiach przez prawie trzy lata pracowałam w kancelarii adwokackiej. Potwornie mnie to męczyło, podobnie zresztą jak zajęcia na uczelni. Moje zainteresowania krążyły wokół innych tematów, głównie kultury i sztuki, ale przede wszystkim chciałam podróżować. Zrozumiałam, że moja osobowość, wymagająca ciągłego ruchu i zmian, predysponuje mnie do czegoś innego. Wtedy zdecydowałam się na dużą wolność i wymyśliłam sobie nowy, wędrowny cykl życia – odtąd przez pół roku będę gdzieś pracować, by przez kolejne sześć miesięcy jeździć, latać, pływać i poznać świat. Potem od nowa, a wszystko to w coraz to nowych miejscach. Swój plan zrealizowałam.

Rok, w którym wyruszyłeś w świat, był dość symboliczny. Czy wejście Polski do Unii miało wpływ na Twoją decyzję?

Zachęcający był fakt otwarcia euro-

pejskiego rynku pracy dla Polaków. To stwarzało możliwość zarobienia większych pieniędzy. Moim założeniem było nie osiedlać się w żadnym miejscu na stałe, tylko wędrować wraz ze zmieniającymi się sezonami turystycznymi. Przyjmowałam właśnie sezonowe zatrudnienia, np. naukę narciarstwa w zimie w Alpach czy pracę na łodziach do obserwacji wielorybów w lecie w Islandii. Z czasem zataczałam coraz szersze kręgi i docierałam do takich zakątków Ziemi, gdzie sezony letnie i zimowe przenikały się lub były zupełnie odwrócone.

Jaka była Twoja pierwsza dalsza podróż?

Marzyłam o Nowej Zelandii i gdy tylko pojawiła się taka możliwość, obrałam sobie ten cel. Wcześniej dotarłam do Australii, gdzie spędziłam miesiąc w dżungli niedaleko Brisbane. Ćwiczyłam jogę, medytowałam, po czym ruszyłam dalej...

Pewnie nie byłaś pierwszą w historii osobą, która wpadła na ideę życia w ciągłej podróży, tyle że 95 proc. zapewne bałoby się go urzeczywistnić.

Ja też nie jestem wolna od obaw i lęków, ale z drugiej strony czuję też potrzebę ich przewycięzania. Taki jest chyba schemat całego mojego życia. Rzucam się sama na głęboką wodę, by sprawdzić czy dam radę i czy przeżyję. Gdy okazuje się, że mogę robić coś, co dla innych pozostaje niewykonalne, i wtedy pojawia się satysfakcja. Choć, nie powiem, bywało sporo rozpaczyliwych

momentów, gdy myślałam, że jestem na krawędzi i nic mnie już nie uratuje. Np. gdy podróżując przez Islandię autostopem trafiłam na zupełnie odludzie na terenie jednego z tamtejszych parków narodowych. Była pierwsza w nocy i choć niebo było jasne, wokół jak okiem sięgnąć było pustkowię i najzwyczajniej w świecie nie wiedziałam, co dalej. W tamtym momencie marzyłam, żeby znów znaleźć się w Polsce, w ciepłym domu, wśród ludzi, którzy mówią w moim języku. Ale jakos przetrwałam. Każda z takich przygód dała mi dużo siły.

Zobaczyłaś ponad 60 krajów na całym świecie. Które szczególnie przypadły Ci do gustu?

Jestem miłośniczką dwóch krajów, o których już wspominałam, czyli Islandii i Nowej Zelandii. Trzecim jest Norwegia, która za każdym razem mnie zachwyca. Lubię też Bliski Wschód – z jakichś względów po prostu dobrze się tam czuję.

To chyba nietypowe dla kobiety?

Może się tak wydawać, ale tamtejsza rzeczywistość jest inna, bardziej skomplikowana niż podpowiadałyby nasze powszechne wyobrażenia. Na pewno potrzeba czasu, by nauczyć się funkcjonowania w tamtejszej kulturze i nabrać pewności siebie. Gdy kobieta zdoła tam zmanifestować swoją siłę, jest jej dużo łatwiej. Mnie podczas wielu podróży nic złego się na Bliskim Wschodzie nie przydarzyło. Oczywiście, kobiety, które wyrosły w takim zachodnioeuropejskim przeświadczeniu o swojej nietykalności, nie będą się tam dobrze czuły. Pamiętam zresztą swoje pierwsze doświadczenia z Turcją, a później z Jordanią i Palestyną – nie było mi tam łatwo, bo kobiety są tam postrzegane po prostu jako słabsza płęć i ma to swoje konsekwencje na wielu polach. Odwrotna sytuacja jest w Tajlandii, gdzie to kobiety rządzą, są przy swojej sile niezależne finansowo, prowadzą biznesy i niejedno-

krotnie zarabiają więcej od mężczyzn.

Co sprawiło, że po 8 latach wróciłaś do kraju?

W 2012 przyleciałam do Warszawy. Zdawało mi się, że tylko po to, by przepakować walizki i wyruszyć na sezon zimowy w Alpy, ale poznałam wówczas mojego obecnego współnika. Znając moją potrzebę podróżowania, zaproponował mi wspólną pracę nad serią subiektywnych przewodników po dużych polskich miastach (cykl „Ogarnij Miasto” – przyp. red.). Zachęcił mnie do tego pomysłu fakt, że przez te 8 lat polskie miasta mocno się zmieniły i ciekawie było je odkrywać na nowo. Nasze przewodniki pisaliśmy pod kątem „alternatywnych” atrakcji, czyli galerii sztuki nowoczesnej, ośrodków kultury, inicjatyw społecznych, kawiarni itd.

Miałaś w głowie przeświadczenie, że wrócisz w końcu kiedyś na stałe do Polski, czy Twój plan na nieprzerwaną tułaczkę był bezterminowy?

Wtedy żyłam z sezonu na sezon, nie miałam dalej sięgających planów. Mój tryb był nomadyczny i w zasadzie jest taki cały czas. Choć mam obecnie stałą pracę, to nie potrafię usiedzieć za biurkiem przy komputerze, wolę przemieszczać się, poznawać nowych ludzi, nowe zjawiska. Lubię to poczucie, że w każdej chwili mogę spakować swoje rzeczy i ruszyć dalej. Dlatego nie buduję gniazda – tu, w Gdańsku, mieszkam w wynajętym mieszkaniu. Krótko mówiąc, wolę zmienność od stałości.

Mamy więc obawiać się, że wyfruniesz nam z Garnizonu?

Obawiajcie się! A mówiąc serio, to nie da się ukryć, że Sztuka Wyboru to dla mnie coś w rodzaju dziecka. A dziecko, po okresie wychowania, trzeba usamodzielnic i pozwolić mu iść swoją drogą. Przyjdzie więc pewnie taki dzień, gdy to się stanie. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że to miejsce stało się dla mieszkańców Wrzeszcza dużą wartością, któ-

ra nie da się przeliczyć na pieniądze. Chciałabym, żeby dalej żyła i zmieniała się ciągle na lepsze.

Wróćmy do narodzin Sztuki. Konceptja na to miejsce była taka sama od początku, czy pozwoliliście jej ewoluować?

Ewoluowała... dość szybko. Początkowo rozmowy z przedstawicielami Hossy toczyły się wokół pomysłu otwarcia w Garnizonie sklepu z polskim wzornictwem. Potem w toku tych dyskusji idea rozwinęła się o kawiarnię, księgarnię i galerię sztuki. Przyczyna była prosta – początkowo zakładaliśmy, że będziemy zagospodarowywać powierzchnię ok. 100 metrów kwadratowych, jednak wkrótce usłyszeliśmy, że przewidziane jest dla nas blisko 800. Musieliśmy więc uruchomić kreatywność i położyć na stole więcej pomysłów, żeby wypełnić tę dużą przestrzeń życiem. Dostaliśmy zielone światło, by skupić się na rzeczach, które nas interesują i pasjonują. Ja potrzebowałam różnorodności i jak największej liczby bodźców wokół siebie, co zrozumiałam przez lata podróży. Myślę, że mocno wpłynęło to na kształt Sztuki Wyboru.

Co zainspirowało Was, by miejsce wyglądało w środku tak, a nie inaczej?

Inspiracji było sporo, na pewno zależało nam na tym, by było jasno i przestronnie. W tamtym momencie nie było w Gdańsku za dużo miejsc tego typu. Najbardziej znane knajpy znajdowały się na Głównym Mieście i muszę powiedzieć, że z reguły nie są to miejsca dobrze zaprojektowane. Często ulokowane są w piwnicach, są ciasne, ciemne, niezbyt atrakcyjne. Tymczasem wnętrze Esprit Haus [odrestaurowany budynek w Garnizonie Kultury, w którym działa Sztuka Wyboru – przyp. red.] było już na starcie pomyślane w inny sposób – z dużą, przeszkloną przestrzenią. To wytyczyło nam dalsze kroki – jasne meble, domowy wystrój, który zachęciłby

Ja potrzebowałam różnorodności i jak największej liczby bodźców wokół siebie, co zrozumiałam przez lata podróży. Myślę, że mocno wpłynęło to na kształt Sztuki Wyboru.



do wypicia kawy, sięgnięcia po książkę. Swobodny klimat. Szybko okazało się, że wiele osób czuje się tu nawet lepiej niż w domu. Miejsce szybko stało się bardzo popularne.

Byłaś od początku nastawiona optymistycznie czy miałaś obawy?

Obawy były związane z tym, że byliśmy nowi w mieście i nie znaleźmy zbyt wielu osób, które mogłyby nas wesprzeć w pierwszych miesiącach działalności. Inna niepewność wiązała się też z faktem, że nie otwieraliśmy lokalu w miejscu turystycznym, przez co nie mogliśmy liczyć na szybki dostęp do klienta. Oba zmartwienia okazały się przesadzone. Nie znaleźmy nikogo, więc zakasaliśmy rękawy, pracowaliśmy ciężko, pokornie robiliśmy swoje i dało to efekt. A to, że nie znajdujemy się na szlaku turystycznym, okazało się być wręcz atutem – sprawia bowiem, że nie

jesteśmy uzależnieni od sezonowości ruchu i mamy stałych klientów, którzy regularnie u nas goszczą.

Jak stworzyliście zespół, który miał udźwignąć Sztukę Wyboru?

Opublikowaliśmy ogłoszenia, by zatrudnić profesjonalny personel dla kawiarni. Inne elementy działalności Sztuki nadzorowaliśmy sami – księgarnię rozkręcił mój partner Paweł, z kolei galeria sztuki i wydarzenia kulturalne były moją działką. Oczywiście radą i pomocą służyło nam wielu fajnych ludzi z różnych miast, których napotkaliśmy przez poprzednie dwa lata pracy nad cyklem „Ogarnij Miasto”. Jeździliśmy wówczas często na różne targi sztuki użytkowej i poznawaliśmy mnóstwo kreatywnych osób, które realizowały swoje projekty związane z wzornictwem, meblami, ceramiką. Mocno korzystaliśmy z tych doświadczeń.

Wkrótce uruchomiliście też dwa kolejne duże projekty – Alternatywne Targi Ślubne i Targi Książki. Wydawałoby się, że mieliście i tak dość pracy i tematów do „ogarniania”...

Nie znaleźliśmy nikogo, więc zakasaliśmy rękawy, pracowaliśmy ciężko, pokornie robiliśmy swoje i dało to efekt.

Owszem, ale staraliśmy się cały czas mieć otwartą głowę i wsłuchiwać się w opinie osób, które podpowiadały, czego brakuje im w Trójmieście. Zawsze celowaliśmy w nisze, a to są właśnie tego typu projekty. Przecież ktoś musiał w końcu to zrobić! Gdy jest pasja i zainteresowanie, zawsze znajdziesz czas i siłę. Te projekty dużo nas uczą i pozwalają rozwijać się w nowych obszarach. W przypadków Targów Książki inna jest też skala działania – międzynarodowa, czy wręcz globalna.

Przy swoim podróżniczym temperamencie wytrzymałaś w Gdańsku już 5 lat. To dobry wynik, który o czymś świadczy.

I tak, i nie. Są okresy, gdy jestem w mieście nieprzerwanie, ale są też takie, gdy potrzebuję regularnych krótkich podró-

ży, by przełamywać rutynę. Teraz staram się co miesiąc gdzieś wyjechać, by przewietrzyć umysł. Wtedy zazwyczaj wpadają mi do głowy superpomysły i wracam ze zdwojoną siłą do działania. Świat się zmienia, trzeba obserwować trendy, szukać nowych dróg i bez żalu żegnać się ze starymi rozwiązaniami. To jest podstawą sukcesu, wynikającą poniekąd z mojej nomadycznej filozofii życia.

Co przez te 5 lat polubiłaś w Garnizonie?

Niezwykłą wartością tego miejsca jest z pewnością jego historia i to, że kiedyś te obszary pełniły zupełnie inną funkcję. Tworzy to niepowtarzalny klimat, co na pewno wpłynęło też na sukces Sztuki Wyboru. Panuje tu specyficzna, niedookreślona atmosfera, a jednak ludzie czują się w niej dobrze. Niedawno byłam w Lipsku, gdzie powstała podobnie zaprojektowana, wielofunkcyjna przestrzeń na terenach pofabrycznych (była fabryka włókiennictwa - Leipziger Baumwollspinnerei), łącząca starą architekturę z nowoczesnością i twórczym fermentem. Tam również zwrócono uwagę na potencjał miejsca przyjaznego dla artystów – ich lofty i pracownie z powodzeniem funkcjonują obok kina, kantyny, hotelu, galerii sztuki i miejsc spotkań. Najwyraźniej wszędzie daje to dobry efekt.

** MAGDALENA KALISZ współtworzy Sztukę Wyboru od 2015 r. 2 lata wcześniej zainicjowała, jako autorka tekstów, fotografka i wydawczyni, serię subiektywnych i alternatywnych przewodników „Ogarnij Miasto”. Współorganizuje Gdańskie Targi Książki oraz Alternatywne Targi Ślubne. Kreuje wydarzenia promujące sztukę, literaturę, design i wspólne twórcze działania. Animuje i ożywia trójmiejskie życie kulturalne. Laureatka nagrody Pomorski Sztorm 2017 w kategorii Odkrycie Roku w Kulturze, nominowana do nagrody Design Alive Award 2018 w kategorii Animator i wyróżniona w konkursie o Nagrodę i Medal im. Zygmunta Glogera 2018 za aktywną animację kultury w środowisku Trójmiasta, ze szczególnym uwzględnieniem dzielnicy Wrzeszcz. Laureatka (wspólnie z Pawłem Szopowskim) nagrody Splendor Gedanensis 2018 za organizację pierwszej edycji Gdańskich Targów Książki.*

FOT. HANNA JAKÓBCZYK/SYLWIA JANKOWSKA

CO NOWEGO, WOKÓŁ NAS?

Od początku roku przestrzeń Garnizonu wzbogaciła się o kilkanaście nowych, oryginalnych lokali oferujących różnorodne usługi. Lada moment dołączą do nich kolejne. Sprawdziłiśmy, na co zapraszają nas nasi nowi sąsiedzi. Warto ich odwiedzić, powitać z uśmiechem i przekonać się, co jest ich specjalnością. Życzymy im powodzenia!



AMBROZJE TUŻ ZA ROGIEM

Garnizon już dawno zaskarbił sobie miano kulinarnej krainy obfitości. Teraz do już znanych i cenionych lokali gastronomicznych dołączają kolejne – z własnymi pomysłami na podbicie serc wrzeszczańskich smakoszy.

Wczesną wiosną swoją działalność w lokalu przy ulicy Chrzanowskiego rozpoczęła **Bienvenu**. Francuska piekarnia rzemieślnicza oferuje produkowane i wypiekane na miejscu pieczywo, słodkości, a także nadziewane chlebki i wytrawne tarty we francuskim stylu. Chrupiącego croissanta lub pain au chocolat

na miejscu można popić aromatyczną kawą.

Pełną parą działają już też dwa nowe lokale przy ul. Białoszewskiego, związane z marką rodzinnej manufaktury **Zakwasownia**. Bistro Zakwasownia proponuje nam kuchnię roślinną w wersji eleganckiej, czyli cieszące oko i podniebienie warzywa i owoce w nowych odsłonach. Atmosfera miejsca jest przyjazna, wyciszająca i niezobowiązująca. Tuż obok znajduje się sklep firmowy z bogatym wyborem zdrowych kiszonek, m.in. kimchi i zakwasów warzywnych. Nabędziemy tu również kombu-

chę w wielu smakach, prozdrowotne szoty, octy, roślinne majonezy i gotowe dania. Wszystko ze znakiem „vege” i ekologicznym certyfikatem.

Miłośnicy czekolady – a któż się do nich nie zalicza? – zainteresują się ofertą **Filizanki**, nowego lokalu przy ul. Norwida, który planuje otwarcie w lipcu. Przysmaku z kakao w wersji gorzkiej, mlecznej i białej skosztujemy tu w różnych kombinacjach smakowych. Zadowoleni będą zarówno miłośnicy słodkiej klasyki, jak i czekoladowi eksperymentatorzy.



Jest też propozycja nie do odrzucenia dla amatorów delikcji na zimno. W **Latto Gelato** na ul. Białoszewskiego serwowane są lody rzemieślnicze z prawdziwego zdarzenia, a więc wyrabiane na miejscu, na naszych oczach, z najlepszych składników. Do wyboru mamy różnorodne smaki w dwóch typach - Gelato (z produktami mlecznymi) i Sorbetto (lody wegańskie, bez produktów pochodzenia zwierzęcego).

Wariacje na temat hot-doga to repertuar **Franco Hot Dogs**, nowego baru przy ul. Chrzanowskiego (budynek HIRO). Mocnym punktem menu jest tu Currywurst z frytami, przyrządzany z kiełbasek sprowadzanych z Niemiec. Wszystkie świeże dodatki do hot-dogów pochodzą z polskiego warzywniaka, a na popitkę można zamówić piwo rzemieślnicze. Atutem Franco ma być też oferta wspólnego oglądania imprez sportowych transmitowanych w telewizji.

Na początku lipca swoich pierwszych gości przyjmie **Oranżeria**. Restauracja mieszcząca się w efektownym, przeszklonym obiekcie przypominającym tradycyjną pomarańczarnię, zaproponuje swoim gościom menu inspirowane różnorodnymi tradycjami kulinarnymi, opracowane przez doświadczonego szefa kuchni Przemysława Langowskiego. Zjemy tu o każdej porze dnia, począwszy od wczesnej pory śniadaniowej. Wieczorem dodatkowym atutem będzie bogata karta drinków.

SPA I BEAUTY PO SĄSIEDZKU

Wśród nowych punktów w Garnizonie nie brakuje też miejsc, w których możemy zadbać o swoje zdrowie, urodę lub szeroko pojęty dobrostan.

Holistic Terapie Naturalne to nazwa nowego centrum terapeutycznego, działającego od czerwca w budynku Hotelu Smart przy ul. Słowackiego. W ofercie są konsultacje żywieniowe, akupunktura, fitoterapie, zabiegi refleksologii oraz szeroki wybór masażów, przeprowadzanych także przez osoby niewidome i niedowidzące, a zatem szczególnie uwrażliwione na zmysł dotyku. Odbywać się tu będą także warsztaty i wykłady o zdrowym stylu życia.

Nowy gabinet kosmologii **Fix Your Skin** przy ulicy Szymanowskiego rozpocznie działalność w lipcu. Przeprowadzane będą tu personalizowane terapie dla skór problematycznych i autorskie zabiegi w nurcie Healthy Ageing, który oznacza dbałość o zdrowie i wygląd na każdym etapie życia z wykorzystywaniem naturalnego potencjału regeneracyjnego organizmu.

W Garnizonie przybyło także miejsc, w których prym wiodą mistrzowie grzebienia i nożyczek. Mowa o salonach fryzjerskich **Stetsiuk Hair Expert** przy ul. Szymanowskiego i **Hairmate** przy ul. Leśmiana.

Pod koniec lata w budynku Hiro przy ul. Chrzanowskiego rozpocznie działalność **Amber Hammam**. Będziemy mogli spróbować tu niezwykle rytuału, w którym połączono orientalny tradycyjny zabieg oczyszczania ciała z leczniczą pielęgnacją naturalnym bursztynem. Wszystko przy relaksującej muzyce i filizance aromatycznej herbaty.

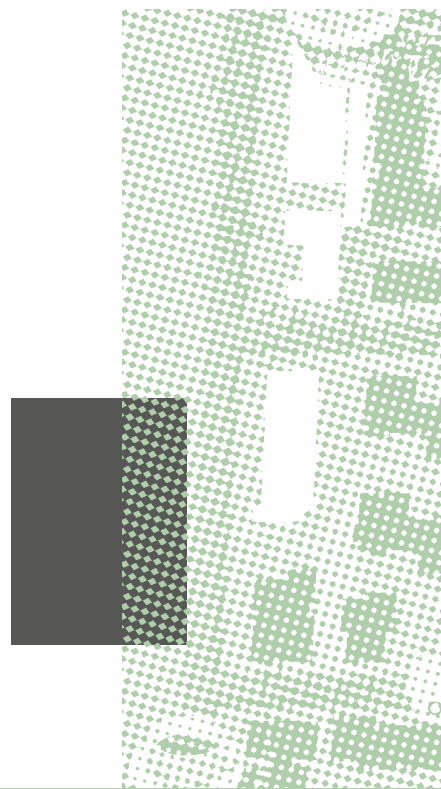
**SŁODKIE I SZYTE NA MIARĘ
SPOTKANIA Z DESIGNEM I SZTUKĄ**

Garnizon wzbogacił się też o miejsce, które może być mekką dla amatorów wypiekania ciast i deserów. **Studio Wszystkiego Słodkiego** przy ul. Hemara 23 składa się ze świetnie wyposażonej kuchni ze studium fotograficznym oraz przestrzeni eventowej, gdzie wkrótce organizowane będą różnorodne imprezy kulinarne - warsztaty, szkolenia, kursy czy degustacje. Studio będzie też dostępne do wynajęcia na prywatne wydarzenia związane ze słodkimi kulinariami.

Przeźnięć na spotkania, także te o dużej skali, oferuje **Progres event&conference** przy ul. Słowackiego. To nie tylko bistro, ale też sala bankietowo-konferencyjna o łącznej powierzchni 600 mkw., umiejscowiona vis-à-vis budynku Esprit Haus (m.in. Sztuka Wyboru). Zmodernizowane wnętrza za bytkowej kantyny huzarów połączone z odświeżającą zielenią i nowoczesnym systemem oświetlenia, do tego dwa tarasy, duże okna oraz wydajny system klimatyzacji i nagłośnienia.

Norwida 2 to adres, który powinni zapamiętać wszyscy ci, którzy przykładają wagę do eleganckiego ubioru. **Tailors Club** to atelier oferujące szycie jakościowej odzieży na miarę. Każdy z produktów jest personalizowany według potrzeb i wymagań klienta, a umożliwia to zespół najlepszych stylistów, krawców i wykonawców odzieży.

Niewątpliwie jeden z najbarwniejszych nowych lokali ulokował się przy ulicy Leśmiana. Znajdziecie w nim studio graficzne **EVC Design Studio** i galerię sztuki **MAG / Modern Art Gallery**. Realizowane są tu nieszablonowe projekty odzieży, reklam czy identyfikacji wizualnych, przestrzeń jest zaś wypełniona twórczością pełną jaskrawych kolorów. Już 4 lipca lokal zostanie uroczystie otwarty.



Jeśli chcesz być na bieżąco z garnizonowymi aktualnościami, zapisz się do naszego newslettera na stronie garnizon.pl. Będziemy Cię regularnie informować o ważnych wydarzeniach, promocjach i nowościach z sąsiedztwa!

Al. Grunwaldzka



tu odpocznesz przy piwku



ZAKWASOWNIA

la70 BELATO

WSZYSTKIEGO Stalberg.pl

Szymanowskiego



Protoszewskiego

na kawa Tawel

TAILORS CLUB



gramy



Holistic



na rozgrzewke

Stonimskiego

tup tup



my tu budujemy



Norwida



KAMPUS

Al. Zolmerzy Wypletnych

HAIRMATE

EV DESIGN STUDIO



Oranżeria

Helmata



a moze i kawa

Szymanowskiego

Stonimskiego

Leśniana

tup tup



Pupa



to kawa podstawa

Stonimskiego

FRANCO

stetsiuk hair expert

BIENVENU



pan kot



MANEZ



Vrest

koncerty Ciupis

Chrzastowskiego



jak parking

ZNAJDZIESZ W GARNIZONIE...

GASTRONOMIA

PROGRES EVENT&CONFERENCE
ul. Słowackiego 17

JAFFA EAT&DRINK - restauracja izraelska
ul. Słowackiego 13/4

U KRÓLIKA - restauracja
ul. Stonimskiego 6/U12

LULA FOOD & DRINK
ul. Norwida 4

MARMOLADA CHLEB I KAWA
- kawiarnia-piekarnia z restauracją
ul. Stonimskiego 5

UMAM - cukiernia i kawiarnia
ul. M. Hemara 1

LIGHTBOX - zdrowa dieta z dostawą
al. Grunwaldzka 186

KREATYWNA CAFE - kawiarnia
ul. Słowackiego 19

SZTUKA WYBORU - kawiarnia
ul. Słowackiego 19

BROWAR NREST
- browar rzemieślniczy, bistro
ul. Słowackiego 23

PUB BROWAR SPÓŁDZIELCZY
al. Grunwaldzka 190

KUCHARIA - restauracja z kuchnią polską
ul. Stonimskiego 6/U4,
ul. M. Białoszewskiego 6

ELIKSIR - cocktail bar&restaurant
ul. Hemara 1

PING PONG - kuchnia azjatycka
ul. Słowackiego 21

POBITE GARY WRZESZCZ
ul. Słowackiego 21

COLUMBUS BISTRO & CAFÉ
ul. Norwida 9

MAMI SUSHI - sushi bar
ul. Hemara 3

MOJE MIEJSCE - włoska restauracja
ul. Hemara 23

SKŁADAK - Wino, Kawa i Rowery
ul. Szymanowskiego 18

**TAKO GDAŃSK - restauracja
meksykańska**
ul. Słowackiego 13/U1

WŁOSZCZYŻNA - pizzeria
ul. Stonimskiego 6

FRANCO HOT DOGS
- rzemieślnicze hot dogi
ul. Chrzanowskiego 11/U9

ORANŻERIA - restaurant&cocktail
ul. Stachury 6

LATTO GELATO - lodziarnia
ul. Białoszewskiego 12

WSZYSTKIEGO SŁODKIEGO
Content&Event Studio
ul. Hemara 23/U4

ZAKWASOWNIA - vegan&organic bistro
ul. Norwida 2

FILIŻANKA - pijalnia czekolady
ul. Norwida 7

ARTYKUŁY SPOŻYWCZE

BULWA - warzywniak
ul. Norwida 9/U3

**GDAŃSKI BAZAR NATURY - bazar
z ekologiczną i regionalną żywnością**
ul. Słowackiego 19

ZAKWASOWNIA - vegan&organic sklep
ul. Norwida 2

**SKŁAD NINA I LAWENDY - winiarnia,
produkty prowansalskie**
ul. Norwida 17

ŻABKA
ul. Stonimskiego 1/62
ul. Chrzanowskiego 11
ul. Hemara 2

BIEDRONKA
ul. Norwida 15

**MANUFATURA MOJEJ MAMY -
cukiernia/piekarnia**
ul. Stonimskiego 1

BIENVENU - piekarnia francuska
ul. Chrzanowskiego 11/1

MIELNIK/NIKTORIA - piekarnia/cukiernia
ul. Norwida 23

ZDROWIE

APTEKA Szymanowskiego
ul. Szymanowskiego 14

PRODENT - gabinet stomatologiczny
ul. Stonimskiego 1/65

K&K JAGŁAK - salon optyczny
ul. Szymanowskiego 14

**INDYWIDUALNA SPECJALISTYCZNA
PRAKTYKA LEKARSKA**
ul. Hemara 3/U5

DENTAL SPA
- Klinika Stomatologii Kosmetycznej
ul. Szymanowskiego 14

ORTHOPEDECS - specjaliści ortopedii
ul. Szymanowskiego 14/U8

GABINETY ZDROWIA POBŁOCCY
ul. Stonimskiego 6/9

**PRZYCHODNIA LEKARSKA NFZ
SŁONIMSKIEGO**
ul. Stonimskiego 1/63

OPTYK HANZA
ul. Norwida 23/U1

ORTOPEDIKA
- Centrum Chirurgii Specjalistycznej
ul. Hemara 17

WIEWIÓR „K”
- Stomatologia Dziecięca i Rodzinna
ul. Norwida 7/U4

ZDROWY UŚMIECH Healthy Smile
- dentysta
ul. Stonimskiego 1/69

HOLISTIC TERAPIE NATURALNE
ul. Słowackiego 3

PROBODY CLINIC - gabinet fizjoterapii
ul. Norwida 2

NORD CLINIC - centrum pediatrii
ul. Norwida 3/U2

URODA

**PROFESSIONAL ACADEMY OF HAIR
AND BEAUTY - salon fryzjerski**
ul. Stonimskiego 1/64

HAIRMATE - salon fryzjerski
ul. Leśmiana 11

**DERMIDEA - Centrum Medycyny
Estetycznej i Laseroterapii**
ul. Stonimskiego 2/5

DASHA BEAUTY
- kosmologia estetyczna&PMU
ul. Szymanowskiego 14

FRYZJERZY Z GARNIZONU
ul. Białoszewskiego 5

ZAWSZE PIĘKNA - salon urody
ul. Stonimskiego 1/68

**MONIKA SOBIERSKA ESTETICA
EXPERT & PMU - salon kosmetyczny**
ul. Norwida 2/U7

SALON ALICJA - kosmologia
ul. Stonimskiego 6/U10

LOKÓWKA - studio fryzjerskie
ul. Hemara 3

STETSIUK HAIR EXPERT- salon fryzjerski
ul. Chrzanowskiego 11

CZUPRYNKI CZESANIE & BRYKANIE
- fryzjer dla dzieci
ul. Stonimskiego 6/U1

SKIN LAB - gabinet kosmologii
ul. Hemara 2

FIVE SENSES - float spa
ul. Norwida 4

EASY BARBERS - męski salon fryzjerski
ul. Białoszewskiego 10

UNIQUE NAILS
ul. Hemara 2

INSTYTUT URODY POR FAVOR
ul. Hemara 15/U2

SZTORM - Tattuo Studio
ul. Norwida 13/U1

SZTORM BARBERSHOP - fryzjer męski
ul. Norwida 13

SUSZARKA - salon fryzjerski
ul. Szymanowskiego 18

FIX YOUR SKIN - gabinet kosmetyki
ul. Szymanowskiego 20/U4

AMBER HAMMAM - day spa
ul. Chrzanowskiego 11

KULTURA I ROZRYWKA

SZTUKA WYBORU - galeria sztuki
ul. Słowackiego 19

STARY MANEŻ - klub muzyczny
ul. Słowackiego 23

STUDIO TAŃCA ARTISTIC
ul. Słowackiego 21

GDAŃSKA SZKOŁA ARTYSTYCZNA
ul. Słowackiego 21

WRZE PRACOWNIA - studio foto, video
ul. Słowackiego 19/8

SPORT I REKREACJA

KLUB BADMINTONA GARNIZON
ul. Słowackiego 7a

MURALL - centrum wspinaczkowe
ul. Słowackiego 1a

STUDIO TAŃCA ARTISTIC
ul. Słowackiego 21

SKŁADAK - serwis rowerowy
ul. Szymanowskiego 18

HULAJSTOP - naprawa hulajnóg elektrycznych
ul. Szymanowskiego 18

WNĘTRZA I DESIGN

RUBIO - galeria sztuki i designu
ul. Stonimskiego 5 lok. 66

GALERIA IDEALNE WNĘTRZA
ul. Słowackiego 19

ALFA FLOORS - podłogi drewniane
ul. Hemara 3

ARTEMIJA DESIGN
- studio projektowania wnętrz
ul. Szymanowskiego 4

KOTY NA PŁOTY - warsztaty krawieckie
ul. Słowackiego 19

SZTUKA WYBORU - galeria sztuki
ul. Słowackiego 19

DECORE ATELIER - tekstylia
ul. Hemara 2

PROJEKT KWIATY - kwaciarnia
ul. Stonimskiego 6

OKNO, KWIATY I MY - kwaciarnia
ul. Norwida 7

MUSCAT - showroom z okularami
ul. Słowackiego 23, Pawilon 6
(Alejka Rzemieśników)

SZPILASHOP - pasmanteria,
sklep z tkaninami
ul. Słowackiego 19

**MAG MODERN ART GALLERY /
EVC DESIGN STUDIO**
ul. Leśmiana 11

TAILORS CLUB POLAND
- krawiec męski, szycie na miarę
ul. Norwida 2

STYLOWA - butik odzieżowy
ul. Szymanowskiego 18

FASHION LOVE BOX - odzież dziecięca
ul. Słowackiego 23, pawilon nr 3
(Alejka Rzemieśników)

O, JAKIE ŁADNE! - design box
ul. Słowackiego 23, pawilon nr 4
(Alejka Rzemieśników)

DORADZTWO

**PERFECT Niezależne Doradztwo
Finansowe SA**
ul. Stonimskiego 6/U6

**MICHAEL / STRÖM INVESTMENTS
Dom Maklerski S.A.**
ul. Stonimskiego 2/U1

AXA Polska S.A.
ul. Norwida 4

UBEZPIECZALNIA
ul. Norwida 4

**BAKOWSKI&HADAŚ KANCELARIA
RADCÓW PRAWNYCH SP. P.**
al. Grunwaldzka 186 I p.

**CZERNIAWSKI, BŁASZKOWSKI,
DROGOSIEWICZ RADCY PRAWNI SP. P.**
ul. Norwida 2

**KANCELARIA ADWOKACKA
ALEKSANDRA PIELUŻEK-LABUDA**
ul. Szymanowskiego 4

PKF CONSULT
ul. Szymanowskiego 4

**BIURO DORADZTWA
EKONOMICZNEGO I PRAWNEGO**
al. Grunwaldzka 186, lokal 2.11.

**KANCELARIA ADWOKACKA
ADWOKAT DARIUSZ MACIEJEWSKI**
al. Grunwaldzka 186

INNE

PRZEDSZKOLE ŻYRAFA
ul. Norwida 4
ul. Słowackiego 13

GŁÓWKA PRACUJE
- sklep z zabawkami edukacyjnymi
ul. Słowackiego 23, Pawilon 7
(Alejka Rzemieśników)

MAMALULU Akcesoria dziecięce
ul. Hemara 3

LUCKY DUCKY
- artykuły dla niemowląt i dzieci
ul. Szymanowskiego 14

BUDUMI
- przestrzeń do zabawy i nauki
ul. Hemara 19

BIELINEK - pralnia ekologiczna
ul. Stonimskiego 6/5

TRAVELPLANET.PL - biuro podróży
ul. Stonimskiego 1/67

SMART HOTEL
ul. Słowackiego 3

KAMPUS - usługi noclegowe
ul. Słowackiego 19, 13

ADI GLOBAL - systemy bezpieczeństwa
ul. Norwida 4

CENTRUM NIERUCHOMOŚCI HOSSA
al. Grunwaldzka 190

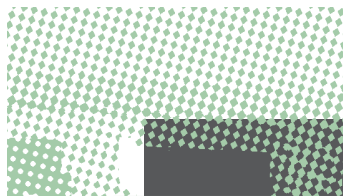
ZOOLAND - sklep zoologiczny
ul. Stonimskiego 1/71

THE AMERICAN ACADEMY OF BUSINESS
ul. Szymanowskiego 20/U6

**LUKAS FILM - produkcja filmów
reklamowych i sesji zdjęciowych**
ul. Słowackiego 19/8

PREMIUM APARTMENTS
- biuro nieruchomości
ul. Stonimskiego 6/13

HOME ASSET
- biuro nieruchomości
ul. Norwida 4



KOMETKA NAD GARNIZONEM

Paweł Durkiewicz



Może być zabawą, może być pasją, może być też idealnym sposobem na zrzućenie zbędnych kilogramów. Swoją nazwę przejął od posiadłości angielskiego księcia Beaufort Henry'ego Somerseta, który pod koniec XIX wieku zaprezentował nową grę w jednym ze swoich wytwornych salonów. Z czasem badminton, bo o nim mowa, trafił pod strzechy. Przypomnieć sobie lub poznać tę dyscyplinę sportu można na jednym z dziewięciu kortów Klubu Badmintonowego Garnizon, funkcjonującego w jednej z hal pozostałych po dawnych zabudowaniach koszarowych przy ul. Słowackiego.

W „kometkę” da się zagrać praktycznie wszędzie, stąd też wielu z nas kojarzy ten sport z wakacjami spędzonymi na świeżym powietrzu – na plaży, biwaku czy w górach. Pod dachem odbijać lotkę można jednak przez okrągły rok, do tego

nie straszny nam wiatr czy nagły deszcz. W tak komfortowych warunkach grywają bywalcy kortów przy ul. Słowackiego, umieszczonych w zaadaptowanej do celów sportowych hali dawnego garnizonu Czarnych Huzarów. Do dyspozycji jest

aż dziewięć pełnowymiarowych kortów ze specjalnie przygotowaną amortyzującą nawierzchnią, oświetleniem, siatkami o regulaminowej wysokości i profesjonalnymi lotkami, wykonanymi - zgodnie ze sztuką - z szesnastu



ogólnorozwojowość i dynamika, przypominająca zabawę. W porównaniu z pływaniem od ściany do ściany było to dla mnie spore urozmaicenie.

Decyzja okazała się strzałem w dziesiątkę, czy raczej – trafieniem w linię. W wieku 17 lat Kamila zgarnęła brązowy medal mistrzostw Europy juniorów w singlu, by dwa lata później sięgnąć po złoto. Było to preludium do pełnej sukcesów kariery, trwającej do dziś. Dwukrotnie wystąpiła na igrzyskach olimpijskich – w 2008 (Pekin) i 2012 (Londyn). Tytuł indywidualnej mistrzyni Polski zdobyła aż... 16-krotnie. Dziś własne starty łączy z prowadzeniem klubu i popularyzacją ukochanej dyscypliny.

– Gdy rozpoczynałam tu pracę, wiedziałam, że badminton jest lubianym sportem i obroni się sam, natomiast wyzwaniem było zachęcenie ludzi do zrobienia pierwszego kroku i przyjscia do hali – wspomina Kamila. – Nie spotkałam jeszcze nikogo, kto po pierwszym treningu stwierdziłby „za trudne, nuda, nie podoba mi się”. Kto złapie bakcyła, ten do nas powraca. Wcześniej widziałam, jak badminton rozwijał się w Warszawie, Łodzi czy Białymstoku. W Gdańsku też zainteresowanie szybko rośnie.

„Nie trzeba wielkich umiejętności, by cieszyć się badmintonem. Każdy jest w stanie od pierwszego kontaktu z raketą czerpać radość z gry”

KAMILA AUGUSTYN

Kto może grać? Praktycznie każdy. Badminton nie wymaga „na wejściu” specjalnych predyspozycji fizycznych, możemy z kolei liczyć na to, że wkrótce po rozpoczęciu regularnego grania nasza sprawność i samopoczucie poprawią się. Uczęszczając regularnie na kort możemy też świetnie wspomóc oddechowanie – godzina biegania i odbijania to nawet 400 spalonych kilokalorii.

- Co ważne, badminton to aktywność ogólnorozwojowa, kształtuje różne partie mięśni, poprawia szybkość, skoczność, wytrzymałość i kondycję – przekonuje Kamila. – Często widzę, że osoby, które przychodzą na pierwszy trening z małą „oponką” wokół brzucha, szybko się jej pozbywają.

W formie rekreacyjnej badminton świetnie sprawdza się jako zabawa integracyjna – na kortach w Garnizonie często widać grupy składające się z gra-

prawdziwych gęsich piór. Możemy też korzystać ze strefy fitness, w której rozgrzejemy się na sprzętach cardio.

O dobre warunki do gry dba w roli menedżerki klubu Kamila Augustyn – wielokrotna mistrzyni Polski, która badmintonem zainteresowała się w wieku 9 lat na zajęciach wychowania fizycznego w rodzinnym Słupsku.

– To już prawie 30 lat... Początkowo uprawiałam pływanie, jednak gdy nowa trenerka z Rosji pokazała nam badminton, szybko postanowiłam, że pójdę całkowicie w tym kierunku. Gra po prostu przypadła mi do gustu, zwłaszcza jej



FOT. MICHAŁ SOBOLEWSKI



czy obu płci i kilku pokoleń. Również rodziny z dziećmi. Choć badminton teoretycznie jest najszybszą grą, w której używa się rakiet (odbijane przez profesjonalistów lotki osiągają maksymalną prędkość dochodzącą do prawie 500 km/h!), poprawne odbicie jest łatwiejsze niż przypadku tenisa czy squash. Na początku nie musimy ściśle stosować się do oficjalnych reguł (patrz – ramka), lecz np. zbierać z partnerem jak największą liczbę kolejnych odbić.

- Grywam na ogół ze znajomymi z pracy, choć zdarza się nam też wpaść na rodzinną grę, z dwójką naszych synów. To ich ulubiony sport bez przedrostka „e-” – uśmiecha się Ania, która do Klubu Badmintonowego Garnizon trafiła rok temu, zupełnym przypadkiem. – Umówiłam się z koleżanką na kawę w Starym Maneżu, po czym mieliśmy odebrać z hali jej męża, który grał akurat partyjkę ze swoim ojcem. Gdy zobaczyłam kort, od razu stwierdziłam, że

też muszę spróbować. Pamiętałam grę z dzieciństwa, a teraz te emocje, podsyte nutą nostalgii, odżyły.

Dodajmy, że w Klubie Badmintonowym Garnizon od zeszłego roku organizowane są rozgrywki Garnizonowej Ligi Firm. W pierwszej edycji udział wzięły cztery firmy (Baltec Marine, Glencore, Hossa, Skat), z kolei w drugim sezonie na starcie ma stanąć aż osiem drużyn (Audytorium, Baltec Marine, Glencore, Hossa, Mobilne Centrum, Lufthansa,



CZEGO POTRZEBUJESZ DO GRY?

- ▷ Przygotuj wygodny strój sportowy i obuwie do sportów halowych z białą podeszwą, najlepiej gumową. Weź też ręcznik.
- ▷ W klubie można wypożyczyć raketę za 10 złotych (kaucja zwrotna 50 zł),
- ▷ Zakup własnej rakiety w sklepie sportowym to koszt rzędu 50-200 złotych.
- ▷ Zarezerwuj sobie kort na konkretny dzień i godzinę na stronie badmintongarnizon.pl. Jeśli posiadasz kartę Multisport, dostaniesz 15 zł zniżki.



Politechnika, Szakale Siatki).

- Mecze wywołują zaskakująco dużo emocji – uśmiecha się Kamila. – Mimo towarzyskiego charakteru całej ligi, wszyscy podchodzą do gry na poważnie i da się wyczuć ducha współzawodnictwa. Wszyscy się wzajemnie motywują, dyskutują i wspierają. Miło się to ogląda.

JAK GRAĆ W BADMINTONA?

Zgodnie z przepisami w badmintonie gramy do dwóch setów. Aby wygrać seta, musimy zdobyć 21 punktów z co najmniej 2-punktową przewagą. Jeżeli gracze osiągną wynik 20:20, to seta wygra osoba, która pierwsza osiągnie przewagę 2 punktów. Jeśli remis utrzyma się do 29:29, to seta wygra osoba, która pierwsza zdobędzie 30 punkt.

Punkt zdobywamy, gdy lotka dotknie pola przeciwnika lub kiedy popełni on błąd, czyli:

- zagra lotką na aut bądź uderzy nią w sufit,
- odbita przez niego lotka nie przejdzie nad siatką,
- wystawi raketę na drugą połowę kortu,
- złapie i przytrzyma lotkę na rakiecie, a następnie rzuci podczas uderzenia.

kolaż

ZWANY WRZESZCZEM

Jarosław Wasielewski

Nowym mieszkańcom Wrzeszcza, zauroczonym jego „modnymi miejscówkami”, łatwo może umknąć bogactwo i złożoność tej dzielnicy. Tak samo, jak... przyimki, towarzyszące trudnym do wymówienia nazwom miejscowym.

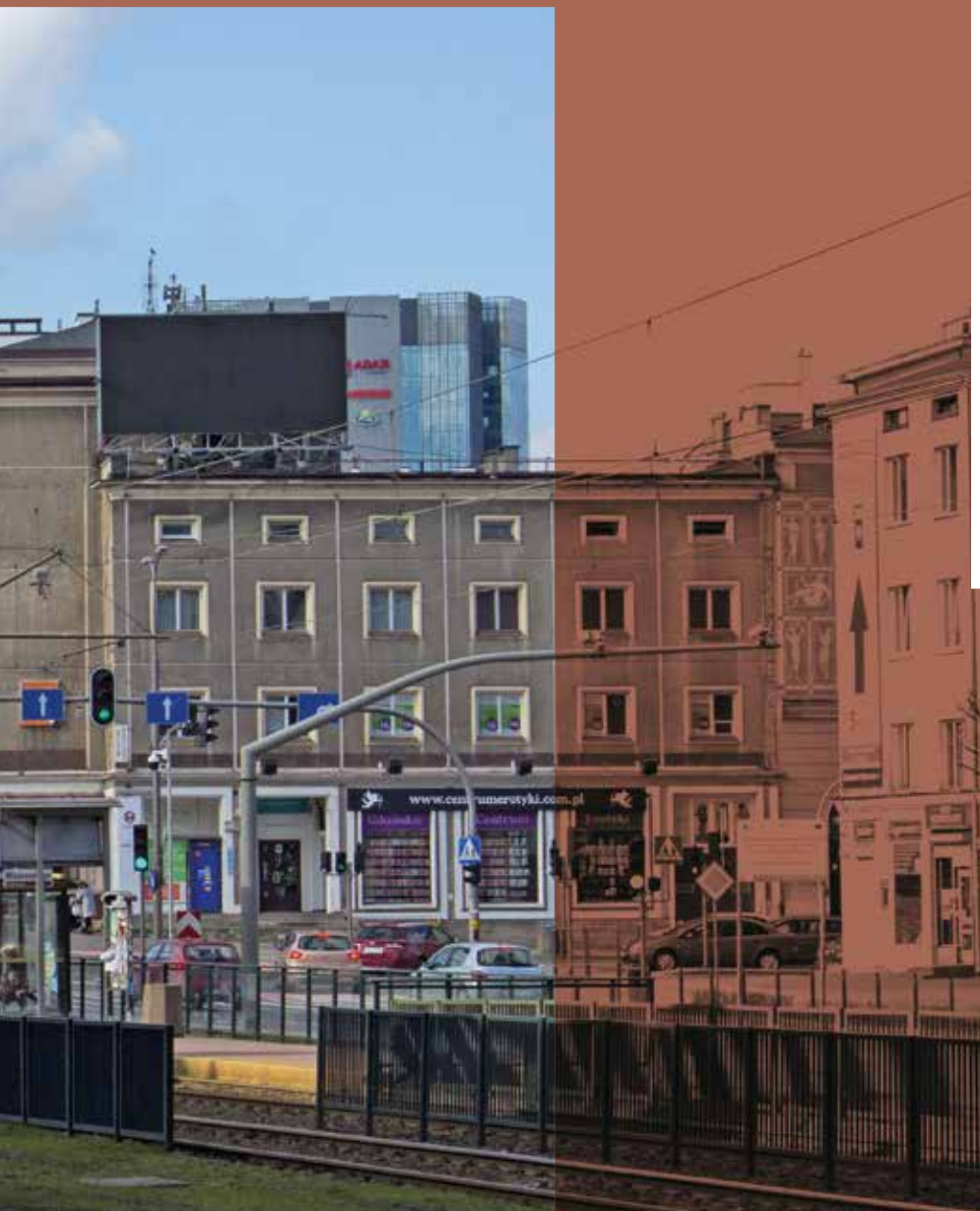
Mówi się o Wrzeszczu, że to dzielnica niezwykła, wyjątkowa. Ale gdy zapytać, co mówiący mają właściwie na myśli, to szybko się okazuje, że poza kilkoma banałami („niezwykle klimatyczny”, „nie-samowity potencjał”), nijak nie potrafią tego wyjaśnić. Jako biegły w sprawach wrzeszczańskich autochton spróbuje więc uchwycić podstawy dla tego powszechnego sądu.

WRZESZCZ JEST OSOBNY

Pół wieku temu najbardziej znany Wrzeszczanin – Günter Grass – w swojej powieści *Psie lata* napisał słynne zdanie: „Wrzeszcz był tak duży i tak mały, że wszystko, co na tym świecie wydarza się lub mogłoby się wydarzyć, wydarzyło się też lub mogłoby być wydarzyć we Wrzeszczu.” Rzeczywiście, dzielnica ma wszystko, co potrzebne, by zapewnić

biografię przeciętnego człowieka. Poza szkołami wszystkich szczebli, mamy tu stadiony, dwa teatry, operę, rozgłośnię radiową, trzy nowoczesne centra handlowe, multipleksy, kompleks szpitalny, kościoły (w tym protestanckie), a także cerkiew i synagogę. W przeszłości w dzielnicy działały również domy handlowe, kina, koszary, gdański ośrodek TVP, a na jej obrzeżach – lotnisko.

Przy poszerzonej po ostatniej wojnie al. Grunwaldzkiej eklektyczne kamienice z przełomu XIX i XX wieku przegladają się w oknach socrealistycznych budynków Grunwaldzkiej Dzielnicy Mieszkaniowej.



takim „ruszcie” zamocowano kolejne warstwy architektury, reprezentujące kolejne dekady i związane z nimi mody: eklektyzm przełomu XIX i XX wieku, międzywojenny i powojenny modernizm, stalinowski socrealizm w wersji *soft* oraz trudne do jednoznacznej klasyfikacji budownictwo współczesne – zarówno to bombastyczne i strzeliste, jak i to bardziej kameralne, respektujące zastane otoczenie (jak chociażby Garnizon). A wszystko to zanurzone w różnych historycznych kontekstach – od wilhelmińskiej Rzeszy, poprzez Wolne Miasto, II wojnę światową i PRL, do pionierskich lat gospodarki wolnorynkowej. Zgłębianie tych złożonych kontekstów, śledzenie relacji między miejscami, a epokami historycznymi, które odcisnęły na nich swoje piętno, pozwala odczuwać ducha dzielnicy na wiele nieoczywistych sposobów.

WRZESZCZ JEST... ZIELONY

Niegdyśejszy wiejski charakter Wrzeszcza i sąsiadujących z nim osad pozostał po sobie pamiętki w postaci resztek dawnych założeń parkowych, które towarzyszyły dawnym majątkom (np. Park Uphagena czy Park Kuźniczki). Przede wszystkim jednak w dzielnicy mamy dwie prawdziwe – choć mocno zakurzone – perły „zielonej architektury”. Pierwszą jest dwukilometrowa dawna Wielka Aleja (dziś al. Zwycięstwa), powstała w latach 1768-1770 i pierwotnie składająca się z 1416 holenderskich lip – dziś, niestety, w dużej części przetrzebionych chorobami. Drugą jest Park Jaśkowej Doliny – nie las, lecz właśnie zdziczały park, oddany do użytku w 1837 roku jako jeden z pierwszych tego typu obiektów w Europie. A jako uzupełnienie – mniejsze i większe założenia dwudziestowieczne, zaprojektowane dla wielkomiejskiej dzielnicy. Zieleni we Wrzeszczu nie trzeba więc

I chociaż samowystarczalność jest tu zbyt dużym słowem, to jednak niespełna 50-tysięczny Wrzeszcz na pewno jest do pewnego stopnia zamkniętym bytem osobnym, takim prawie-miastem.

WRZESZCZ JEST WIELOWARSTWOWY

Wrzeszcz nie ma jednolitego charakteru czy „klimatu”. Mamy do czynienia z kolażem, złożonym z uformowa-

nych w różnym czasie większych bądź mniejszych wsi, majątków i osiedli oraz całych kwartałów nowoczesnej zabudowy willowej i robotniczej. Znajduje to swoje odbicie w szczególnej urbanistyce i architekturze dzielnicy. Jej główne ulice powstały na planie dawnych polnych dróg łączących sąsiadujące wsie, a uzupełniają je nowoczesne, zaprojektowane z rozmachem aleje. Na

Klasowe kontrasty Wrzeszcza w jednym kadrze: domy osiedla robotniczego fundacji doktora Abegga (1896-97) przy ul. Własna Strzecha oraz wieża ciśnieniowa w pobliskim kompleksie Politechniki Gdańskiej (1904)



długo szukać, wystarczy zboczyć z codziennej trasy i korzystać. Wrzeszcz ma czym oddychać.

WRZESZCZ ZNÓW JEST MODNY

Po wielu latach chudszych we Wrzeszczu znów jest „gdzie wyjść”. Do kilku lokali znanych i sprawdzonych, jak chociażby Klub Żak z tradycją sięgającą 1957 roku, wciąż dołączają nowe, również w miejscach, w których wcześniej wieczorami zalegała martwa cisza. Dziś już nie trzeba jechać do historycznego śródmieścia, by spotkać się z przyjaciółmi. Niektóre z tych miejsc powoli się zakorzeniają, inne – nie, i zastępowane są przez kolejne. I chociaż część „starych” mieszkańców Wrzeszcza obawia się gentryfikacji dzielnicy, to optymiści w tym wysypie „modnych miejscówek” widzą zapowiedź powrotu do jej dawnej świetności. W latach PRL-u, do rozświetlonego neonami Wrzeszcza

zjeżdżało się z całego Trójmiasta – i się „bywało”. To prawda, lans nie ten sam, co dziś, ale – sądząc po rozmowach ze starszymi mieszkańcami naszej aglomeracji – wspomnienia bardzo trwałe.

WRZESZCZ, BO...?

Należałoby w końcu wyjaśnić zasadniczą kwestię: dlaczego Wrzeszcz? Kto tu krzyczał, na kogo i dlaczego? Otóż wbrew pozorom oraz intuicyjnym odczuciom nazwa *Wrzeszcz* nie ma nic wspólnego z krzykiem. Dominująca wciąż teoria o pochodzeniu tej nazwy wskazuje na źródło bardzo niewinne – jest nim słowo *wrzos*, a więc nazwa rośliny (*Calluna vulgaris*), która podobno obficie porastała średniowieczną wieś. Pamiętajmy jednak, że przez większość swoich dziejów – bo od czasów krzyżackich do 1945 roku – Wrzeszcz nosił niemiecką nazwę *Langfuhr*, „Długi Przejazd” – bo faktycznie, dawna wieś

rozciągała się wzdłuż fragmentu drogi prowadzącej z Gdańska do Oliwy (dziś al. Grunwaldzka).

A STRZYŻA?

Strzyża pierwotnie także była wsią. Kiedy w te strony w końcu dotarło miasto, Strzyżę włączono w jego granice jako część dzielnicy Wrzeszcz – i zabudowano. Owszem, nazwa Strzyża (w brzmieniu niemieckim rzecz jasna, czyli *Striess*) była przed 1945 rokiem w użyciu, ale bardziej z przyzwyczajenia. Po wojnie nowa polska ludność i administracja – siłą rzeczy – jej nie używały. Przypomniano ją dopiero w 1992 roku, kiedy to urzędowo wyodrębniono Strzyżę (w okrojonych względem historycznych granicach – bez dużego kawałka w południowej części) jako tzw. jednostkę pomocniczą. I w ostatnich latach, na fali poszukiwań lokalnej tożsamości, nazwa ta mocno

„chwyciła” wśród mieszkańców. Czyli Strzyża to wciąż Wrzeszcz, choć administracyjnie jest to byt odrębny, co do pewnego stopnia ma uzasadnienie historyczne, ale funkcjonalnego – już nie.

„W”, „WE” CZY MOŻE „NA”?

Na koniec uporajmy się z przyimkami. Niejednokrotnie słyszałem, jak ktoś chwali się, że mieszka „na Wrzeszczu”, jak rozumiem – przez analogię z innymi dzielnicami („na Zaspie”, „na Przymorzcu”, „na Chełmie”). Taka forma jest

jednak obca ludności miejscowej, a do tego zwyczajnie błędna. Od zawsze mówiło się i mówi „we Wrzeszczu”. Dlaczego? Otóż jeśli dzielnica w przeszłości była autonomicznym bytem, np. wsią właśnie, to wtedy poprzedzamy ją przyimkiem „w” (lub „we”, jeśli mamy do czynienia z trudnym sąsiedztwem fonetycznym). Podobnie rzecz ma się ze Strzyżą – prawidłowo mówi się „w Strzyży”. Jednakże z uwagi na względną „świeżość” tej nazwy, nawet mieszkańcy zaczęli mówić „na Strzy-

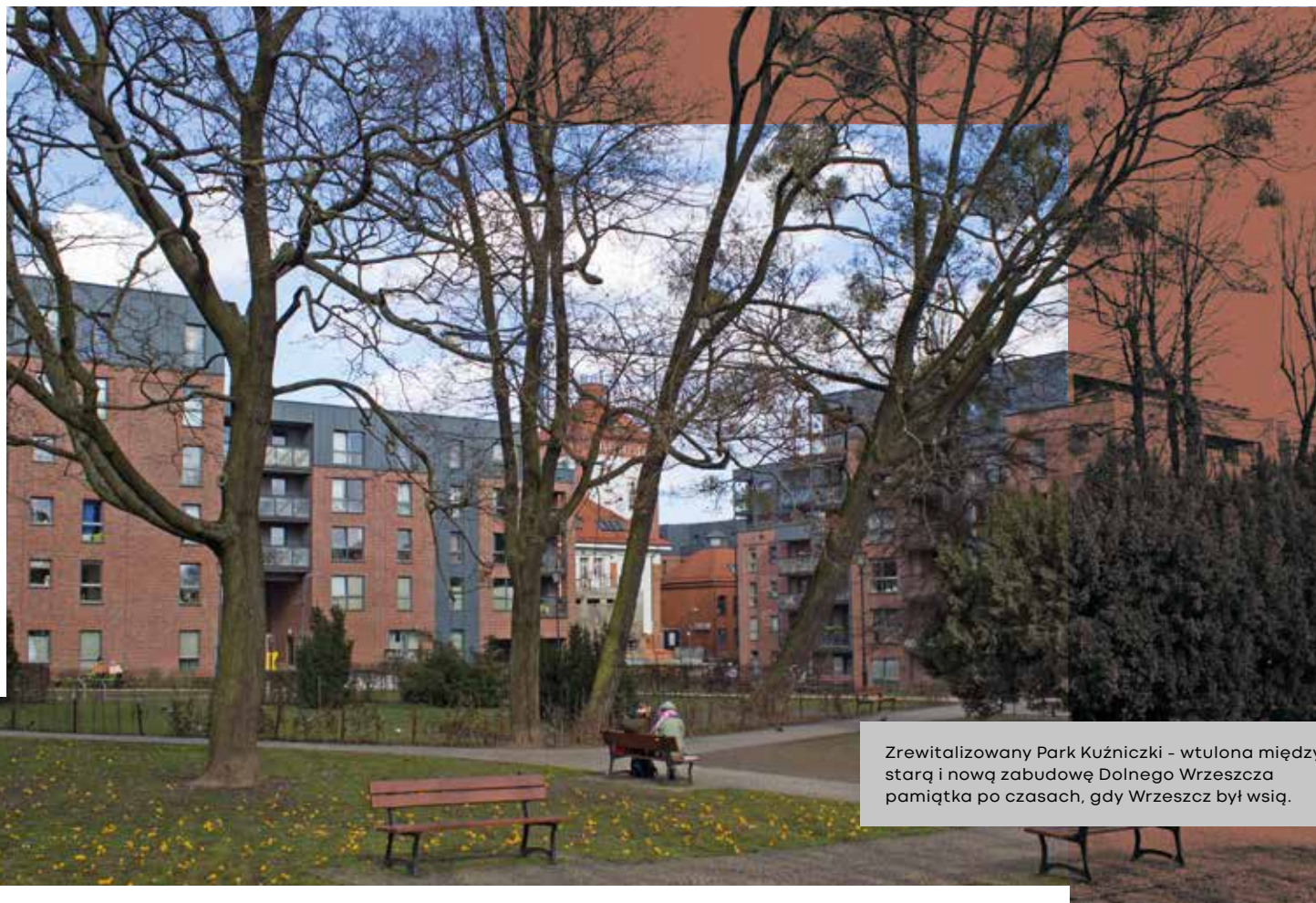
ży”, z czym – inaczej niż w przypadku Wrzeszcza – trudniej walczyć. Dla jasności dodam: jeśli mieszkacie w – no właśnie: „w”, a nie „na” – Garnizonie, to mieszkacie najprawdopodobniej we Wrzeszczu, jako że do Strzyży administracyjnie należy tylko część zabudowań południowej pierzei ul. Szymonowskiego.

Jak widzicie, z Wrzeszczem nic nie jest proste. Ale za to wszystko jest ciekawe.

JAROSŁAW WASIELEWSKI – badacz i popularyzator historii Gdańska, współautor m.in. serii albumów Wrzeszcz na dawnej pocztówce, publikuje na portalu Trójmiasto.pl oraz w czasopiśmie 30 dni, pisze także bloga: jarekwasielewski.pl/zwrzeszcza



FOT. KRZYSZTOF PEKAŁSKI



Zrewitalizowany Park Kuźniczki - wtulona między starą i nową zabudowę Dolnego Wrzeszcza pamiątka po czasach, gdy Wrzeszcz był wsią.

LaT● NA TALERZU

Bez, piwonie, czereśni i truskawki - tak pachnie i smakuje lato. Długo wyczekiwane smaki i aromaty sprawiają, że letnie owoce i warzywa zmieniają nasze talerze w kolorowy obraz godny Moneta, i to nie tylko przy śniadaniu na trawie. Prawdziwymi mistrzami w łączeniu kolorów są również szefowie kuchni. Żeby zobaczyć i spróbować ich impresji, nie musicie na szczęście wybierać się do Paryża - to tu, w Garnizonie, czeka na Was prawdziwa przygoda pełna wakacyjnych smaków.



ZIELONO MI

Zielone koktajle zdobyły sławę dzięki swym wartościom odżywczym i na stałe wpisały się w nasze menu. Strach przed wszystkim co zielone jest już tylko baśnią, bo Tadek Niejadek nigdy nie spróbował zielonego koktajlu, zwłaszcza tego z restauracji **Lula** - „Zielono mi”. Pamiętacie Popeye’a ze znanej kreskówki? Jemu było zielono dzięki niezwyklej mocy szpinaku i właśnie na bazie tej rośliny powstało smoothie z kiwi, bana-

nem, jabłkiem i sokiem jabłkowym.

Zielony kolor potrafi też odczarować **Zakwasownia Bistro** i wyczarować z zielonych warzyw pyszne potrawy, które potrafią zaskoczyć nieoczywistymi połączeniami smaków. Gęsta zupa z marynowanego szczawiu, na warzywnym wywarze z dodatkiem chrzanu i czosnku, okraszona wegańską śmietanką to ich elegancka i pełna szacunku odpowiedź na tradycyjną szczawiową naszych babć. Podawana z chrupiący-

mi, panierowanymi w ziołach grzybkami shimeji oraz z kremowym puree ziemniaczanym, tworzy na talerzu piękny obraz, który cieszy nie tylko podniebienie, ale i oko. Do tego ziołowy puder, kwaskowe liście begonii i nawet zatwardziały mięsożerca zakocha się w kuchni roślinnej.

↑ Espuma z rokitnika ze świeżymi ziołami
→ Hummus ze szparagami / J

Będąc przy zielonej palecie barw nie można zapomnieć o szparagach. Zielone łodygi zyskały w ostatnich latach niesłychaną popularność i w okresie letnim goszczą na stołach w prawie każdym domu i restauracji. **Jaffa eat&drink** zaprasza na letnią odsłonę kuchni izraelskiej, w której znalazły się zielone hummusy ze szparagami lub z bobem. Zaskakującym połączeniem zielonego koloru zachwyca także pizza z letniego menu **Starego Maneżu** – ze szparagami, mozzarellą, jajkiem, sosem bianco, trufłą i dymką. W restauracji

U Królika szparagi występują z kolei w kremowej zupie oraz jako dodatek do steka z polędwicy w sosie gorgonzola lub z łososiem w sosie holenderskim. Szefowa kuchni musi być też fanem zielonego koloru, bo nie pozwala, by zmarnował się choć najmniejszy listek. Placuszki z liści rzodkiewki, które zazwyczaj lądują w moim koszu, są niezwykle intrygującą pozycją w menu. I takie „zero waste” to ja rozumiem!

bądź kasztanowiec i mamy wakacyjny klimat. Czym jednak byłoby lato bez orzeźwiającej lemoniady i mrożonej herbaty malinowej? Tego niestety nie wiem, bo **Columbus Bistro&Cafe** robi takie napoje, że nigdy nie mogę im się oprzeć.

Temat orzeźwiających mikstur nie jest oczywiście obcy najlepszym garnizonowym alchemikom z ul. Hemara. Mikstury z **Eliksiru** wprost smakują latem,



z innymi owocami / Eliksir.
Jaffa eat&drink



Chłodnik z buraków i jabłek z domowymi lodami chrzanowymi / Eliksir

LETNIE ORZEŻWIENIE

Świeżak arbuzy to nie nazwa kolejnego pluszaka, tylko orzeźwiający napój na bazie aloesu i cytryny z dodatkiem arbuza, który z pewnością znajdzie swych fanów wśród młodszych gości **Pobitych Garów**. Dla miłośników mocniejszych napojów restauracja przygotowała swoją wariację na temat szprycera, dodając do niego likieru melonowego i prosecco z dodatkiem świeżych owoców. Jeszcze tylko leżak, lipa

tego nie da się tak po prostu opisać, trzeba koniecznie spróbować. Orzeźwienie mogą przynieść nie tylko pyszne drinki, ale też wytrawne pozycje z menu, jak na przykład chłodnik – w tym wypadku z buraków i jabłek z domowymi lodami chrzanowymi. Ostro, prawda? Kulinarna ekstaza może być jeszcze ciekawsza, ponieważ Eliksir specjalizuje się w food-pairingu, gdzie do każdego dania dopasowany jest koktajl. Jeżeli macie ochotę na niesamowite doznania, warto już za-



Świeże truskawki to dla wielu symbol lata

rezerwować stół, bo w Elikirze karta menu zmienia się co dwa miesiące, aby za każdym razem bazowała na sezonowych produktach.

KRÓLOWA JEST TYLKO JEDNA

Truskawka. I wszystko jasne. Ale nie poskąpię Wam przyjemności (i lekkiego ślinotoku) na myśl o truskawkowych pozycjach w garnizonowych kartach. Lody jogurtowe z polskimi, letnimi truskawkami to kwintesencja lata. Pyszności w nowej lodziarni **Latto Gelato** są tworzone na miejscu, na oczach klientów. Do produkcji używane są składniki najwyższej jakości, bez barwników i sztucznych wzmacniaczy smaku. Tętejsze lody dzielą się dwa rodzaje: gelato i sorbety. Gelato to lody mleczne z własnych receptur inspirowanych włoskimi recepturami. Sorbety są z kolei lodami

wegańskimi, bez produktów pochodzenia zwierzęcego. Trudno się oprzeć i jednym i drugim.

Truskawki mogą oczywiście występować nie tylko w wersji na słodko, ale też jako dodatek do wytrawnych potraw. W Starym Maneżu truskawki urozmaicają Krewetkowy Bowl z owocami morza, komosą ryżową, mango, selerem naciowym, koprem włoskim, miętą i kolendrą. W restauracji **Moje Miejsce** truskawki zagościły natomiast na sałatce z serem halloumi, którą można zachwycić się w porze lunchowej. A gdy jest już po dwunastej, to z czystym sumieniem można też zacząć delectować się aromatycznymi bąbelkami. Nic nie stoi na przeszkodzie, by w promieniach słońca na tarasie nowego bistro **Progres Event&Conference** wychylić kieliszek doskonałego prosecco ze świeży-

mi truskawkami. **Marmolada, Chleb i Kawa** proponuje z kolei Eldersecco – tu oprócz wina musującego i truskawek w składzie jest jeszcze syrop z kwiatu czarnego bzu i bazylii. Wieczorem warto zaś się wybrać do restauracji **TAKO** na meksykańską ucztę z Truskawkową Margaritą w dłoni. Strawberry fields forever!

SŁODKO-KWAŚNY DUET

Nic tak nie pieści podniebienia jak eksplozja słodko-kwaśnych smaków. Wegańska cynamonowa drożdżówka z rabarborem duszonym w grenadynie, pokryta grubą chrupiącą kruszonką i z sosem chantilly z Zakwasowni brzmi jak kulinarna kompozycja godna Mozarta. W cukierni **UMAM** słodko-kwaśny duet tworzy Rabarbarotka. Na spodzie shortbread, w środku kawałki rabarbaru prażone na

maśle. Całość obłana gęstym musem na białej czekoladzie. Przy takim połączeniu nie można zapomnieć też o klasycznej bezie Pavlova, w której ukryte jest cremeux malinowe. Całość wykończona mascarpone z kremem Chantilly i świeżymi owocami. W pieciku malinowe puree. Jeżeli jesteście już w drodze do jednego z tych miejsc, wstąpcie jeszcze po drodze do Elikiru i zamówcie espumę z rokitnika podanego ze świeżymi owocami i własnej produkcji owocowymi przetworami. Dodatkowymi kilogramami się nie martwcie, owoce przecież nie tuczą, nieprawdaż?

DIY!

Nie musisz mieć własnego ogródka warzywnego, by przygotować w domu danie na miarę gwiazdki Michelin. Cały sekret gotowania kryje się w dobrych składnikach, które z niejednego laika zrobią mistrza kuchni. Ekologiczne owoce i warzywa wprost od lokalnych dostawców znajdziesz na targu **Bazar Natury**. Co tydzień pojawiają się nowe produkty – piękna i soczysta truskawka,

młody kalafior i ziemniaczki, szparagi oraz botwinka, czyli wszystko, co w trawie, a właściwie w ziemi, piszczy. Świeże sezonowe owoce i warzywa także z upraw ekologicznych, znajdziecie też codziennie w garnizonowym warzywniaku **BULWA**. Truskawki, maliny, czereśnie, borówki, jeżyny, porzeczki, leśne jagody i wiele innych. Takie jest właśnie lato w **BULWIE** - obfite, kolorowe, smaczne i soczyste! Lato to również czas na zamykanie smaków w słoikach.

Czas prób, porażek i sukcesów dla tych, którzy chcą wypełnić swoją spiżarnię pysznościami. Nie ma nic smaczniejszego niż małosolne własnej roboty, domowy ketchup z pysznych polskich pomidorów, czy wreszcie ponadczasowe ogórki kiszane, dzięki którym w sezonie jesiennym możemy wspierać naszą odporność. Ale o jesieni to już w kolejnym numerze!

Zupa z marynowanego szczawiu / Zakwasownia Bistro



ALEKSANDRA STOLARCZYK – zawodowo zajmuj się marketingiem, a po godzinach influencerka kuchni, specjalizująca się w segmentach #wege i #yumyum. Tworzy ciasta tak piękne, że przy ich konsumpcji mieszają się ze sobą tży żalu i rozkoszy.

Jan Daniluk

SPOR /

W KOSZARACH,

czyli o dawnym stadionie sportowym w Garnizonie

Niewiele osób wie, że w sercu dzisiejszego osiedla Garnizon przez lata funkcjonowało boisko sportowe z prawdziwego zdarzenia. Zajmowało praktycznie całą przestrzeń jednego z placów ćwiczeń między stajniami i krytymi ujeżdżalniami w byłych koszarach „Czarnych Huzarów”. Na próżno jednak dziś szukać po nim choćby najmniejszego śladu.

Położone było wzdłuż obecnej ul. Cypriana Kamila Norwida, między ul. Mariana Hemara a al. Żołnierzy Wyklętych. Oddane do użytku w 1925 r., funkcjonowało niemal do końca II wojny światowej.

NIE MA TEGO ZŁEGO, CO BY NA DOBRE NIE WYSZŁO...

Aby zrozumieć, dlaczego boisko powstało na terenie byłych koszar, należy cofnąć się do roku 1920. Przed stu laty, dokładnie w lutym, Gdańsk opuściły ostatnie oddziały niemieckie. Wkrótce powstało Wolne Miasto Gdańsk. Miało zostać ostatecznie zdemilitaryzowane – w jego granicach nie miały stacjonować

na stałe już żadne wojska, nie można było produkować uzbrojenia, ani utrzymywać fortyfikacji. Wraz z likwidacją garnizonu opustoszały także i koszary, w tym i te w Strzyży Górnej. W ciągu kilku lat, kiedy ostatecznie majątek po wojsku pruskim został rozdzielony, władze gdańskie zyskały szereg korzystnie umiejscowionych obiektów i terenów. Większość z budynków pokoszarowych zamieniono na mieszkania lub biura, a składy wojskowe na prywatne magazyny i niewielkie fabryki. Tereny dawnych bastionów oraz poligonów przeznaczono pod nowe inwestycje – osiedla, drogi, lotnisko, parki i zieleńce, a także... nowe boiska i stadiony.

„DRUGIE ŻYCIE” POWOJSKOWYCH TERENÓW

Demilitaryzacja Gdańska po 1920 r. zbiegła się bowiem w czasie z gwałtownym rozwojem zainteresowania wśród mieszkańców sportem. Wzrost aktywności fizycznej, powstawanie nowych towarzystw i klubów wiązał się bezpośrednio także z próbami budowy infrastruktury sportowej. Nowocześnie rozumiany sport rozwijał się w Gdańsku mniej więcej od lat 80. XIX w., ale na pierwsze, prawdziwe boisko mieszkańcy czekali aż do 1911 r. Powstało przy dzisiejszej ul. Mariana Smoluchowskiego. Narzucona w związku z demilitaryzacją zmiana funkcji licznych przecież

Mecz piłki nożnej między drużynami żołnierzy Wehrmachtu na stadionie w koszarach, około 1940 r. (zbiory Krzysztofa Gryndera)



PIERWSZE BOISKO

Nowe funkcje zyskały też koszarzy w Strzyży Górnej. Nie tylko dlatego, że miejsce żołnierzy zajęli policjanci gdańscy, a do części dawnych budynków wprowadziły się prywatne firmy handlowe i zakłady rzemieślnicze. Piaszczyście, częściowo opustoszałe place między murowanymi budynkami niemal od razu zaczęły być użytkowane przez okoliczną młodzież do gry w piłkę nożną. Nie brakowało też i dorosłych amatorów futbolu. W dzielnicy brakowało boisk. Główną rolę jednak w animacji życia sportowego w koszarach w Strzyży Górnej miał pełnić założony jeszcze w 1920 r. Policyjny Klub Sportowy (Polizei Sportverein e.V.). Stosunkowo szybko na jego cele zbudowano prowizoryczną trybunę i zorganizowano pierwsze boisko. Zostało ono ulokowane w północnej części dawnych koszar 2 Pułku Przybocznego Huzarów, czyli między ul. Mariana Hemara a Bernarda Chrzanowskiego. Od początku było jednak jasne, że jest to rozwiązanie tymczasowe. Klub gwałtownie się rozwijał, tak licznie, jak i organizacyjnie (z biegiem kolejnych lat powstały nowe

sekcje). Działacze sportowi podjęli więc starania, by zbudować profesjonalne boisko. Brakowało jednak środków.

WIELKA WYSTAWA ROLNICZA

Rozwiązanie przyszło z dość nieoczekiwanej strony. Gdańsk na początku lat dwudziestych był miejscem organizacji szeregu konferencji, targów i wystaw. To także była konsekwencja „uwolnienia” powojennych obiektów, których część wykorzystano właśnie do organizacji tego typu imprez. Takie plany były snute także wobec koszar w Strzyży Górnej (jako potencjalnej siedziby ówczesnych Międzynarodowych Targów Gdańskich). Od 16 do 19 maja 1924 r. prawie cały kompleks zamienił się w jeden, duży teren Wielkiej Wystawy Rolniczej, zorganizowanej przez Związek Hodowców z Wolnego Miasta Gdańska. Na jej potrzeby wzniesiono m. in. dużą, odsłoniętą, trybunę dla widzów. Hodowcy zgodzili się jej po imprezie oddać policjantom pod warunkiem, że w przyszłości (nie częściej niż raz na 3-4 lata) będą oni ją udostępniać na potrzeby kolejnych wystaw rolniczych.

w dawnym garnizonie obiektów i terenów wojskowych stworzyła jedyną w swoim rodzaju okazję, by na cele sportowe przeznaczyć niejednokrotnie bardzo atrakcyjne przestrzenie. Wkrótce nowe boiska i stadiony powstały m. in. na terenie dawnego fortu na Biskupiej Górze, przy bastionach na Dolnym Mieście czy w miejscu rozbranych strzelnic wojskowych przy obecnej ul. Romualda Traugutta.



Pokaz ćwiczeń na świeżym powietrzu na stadionie policyjnym, najpewniej między 1926-1933 (zbiory PAN Biblioteki Gdańskiej)



Wizualizacja nowego stadionu policyjnego w koszarach, 1925 r. (za: „Zoppoter Zeitung”, 8 maja 1925 r.)

NOWA ARENA

Półtora miesiąca po wystawie, w lipcu 1924 r. wbito pierwszą łopatę na placu budowy. Prace wymagały m. in. nie tylko zadaszania trybuny, ale też przeprowadzenia dość szeroko zakrojonych prac ziemnych, przy których zajęcie znalazło 800 ludzi. Otwarcie nowego stadionu odbyło się dokładnie 31 maja

1925 r. Inauguracja została połączona z organizowanym rokrocznie „narodowym festynem sportowym”. Tego dnia przybyli goście i sportowcy mogli podziwiać pełnowymiarowe boisko do gry w piłkę nożną (65 x 110 m.) wyposażone w profesjonalny drenaż, bieżnie, stanowiska do skoków w dal i wżwyż

oraz pchnięcia kulą. Dumnie prezentowała się także zadaszona trybuna na 1100 miejsc. Pod trybuną ulokowano pomieszczenia klubowe: szatnie, magazyny i bar. W budynku stojącym w bezpośrednim sąsiedztwie z boiskiem ulokowano biura klubowe oraz restaurację.



Drużyna piłkarska Policyjnego Klubu Sportowego, 1929 r. Policjanci przez cały okres międzywojenny byli jedną z najsilniejszych drużyn futbolistów w Wolnym Mieście Gdańsku (za: 10 Jahre Sportverein Schutzpolizei Danzig e.V. 1920-1930, Danzig 1930).





ani jego pierwsza, ani ostatnia realizacja w Gdańsku. W październiku 1922 r. odsłonięto pomnik poległych żołnierzy z Nowego Portu w latach I wojny światowej jego autorstwa. We wrześniu 1925 r. stanął na tzw. Cmentarzu Garnizonowym jeszcze inny jego pomnik, tym razem poświęcony poległym marynarzom z SMS „Magdeburg”.

WAŻNE MIEJSCE

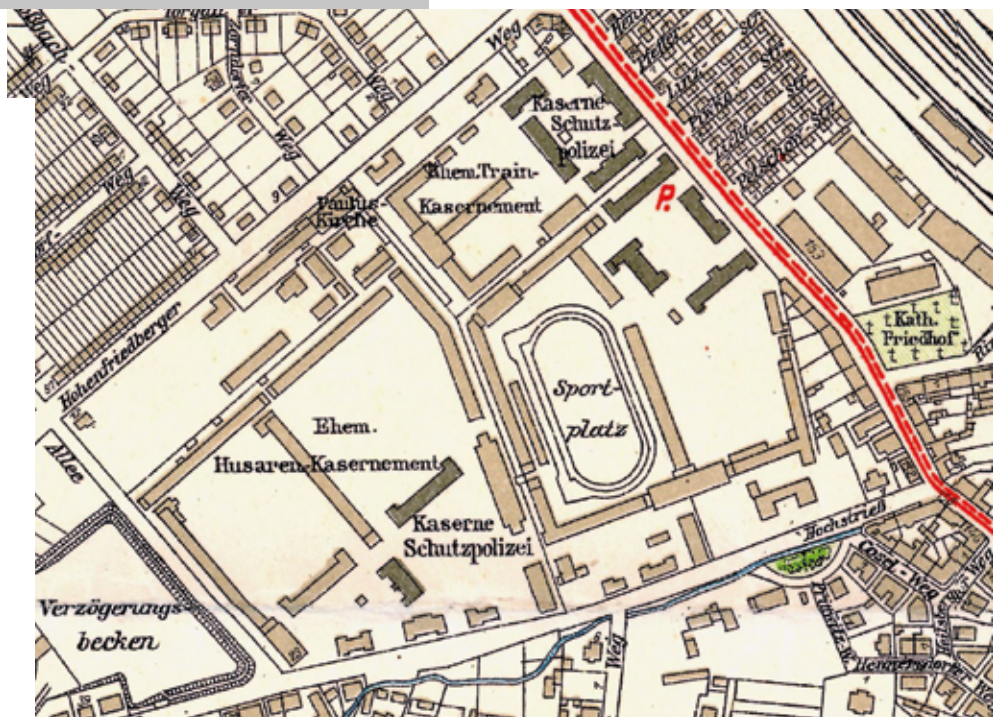
Warto zauważyć, że policyjne boisko (Schuposportplatz – tak najczęściej go określano) był przez kilka lat, aż do oddania do użytku nowego (wspomnianego wcześniej) stadionu przy dzisiejszej ul. Romualda Traugutta, największym obiektem sportowym w tej części miasta. Regularnie na jego terenie rozgry-

wano mecze w najwyższej lidze piłkarskiej Wolnego Miasta Gdańska, a także spotkania towarzyskie czy mecze pucharowe z przyjezdnymi drużynami, głównie z Prus Wschodnich. W koszarach niejednokrotnie grali także Polacy z „Gedanii”. Nieco rzadziej odbywały się mecze w piłkę ręczną czy zawody lekkoatletyczne. Stadion w koszarach do 1940 r. pełnił rolę głównego boiska dla policyjnych sportowców. Następnie został zdezonizowany przez nowe, większe boisko, jakie powstało w rejonie ul. Fryderyka Chopina. W latach II wojny światowej służyło jednak nadal, tym razem przede wszystkim żołnierzom, którzy ponownie (w 1939 r.) wprowadzili się do koszar. Kres przyniósł rok 1945 r., kiedy boisko zostało zrujnowane. Po wojnie nie zostało już odbudowane.

Fragment planu Gdańska z 1933 r. z kompleksem dawnych koszar „Czarnych Huzarów”, czyli 1 i 2 Pułku Przybocznego Huzarów. Doskonale widoczny policyjny stadion w środkowej części całego kompleksu (zbiory The University of Chicago Library)

POMNIK JEŹDZCA

Przed wejściem na boisko stała wykuta z żelaza brama ozdobiona herbem gdańskim. Obok niej ustawiono duży, mierzący aż 4,5 metra wysokości głaz z tablicą przedstawiającą jeźdźca. Był to ukłon w stronę tradycji sportów konnych, które uprawiali z powodzeniem dawni gospodarze koszar, a więc słynni „Czarni Huzarzy”. Projekt pomnika zlecono profesorowi Friedrichowi Fischerowi z Berlina. Nie była to zresztą



JAN DANILUK – dr historii, absolwent i pracownik Uniwersytetu Gdańskiego. Badacz i popularyzator historii Gdańska i Sopotu (XIX-XX w.), w szerszej perspektywie zajmuje się także historią II wojny światowej oraz Rzeczy Niemieckiej (1933-45). Autor m.in. artykułów historycznych na portalu Trojmiasto.pl i współautor publikacji poświęconych historii Wrzeszcza. Strona domowa: www.jandanieluk.pl.

GaRNiZON

WEDŁUG PAWŁA HUELLEGO

FANTAZJA

Tak, niegdyś zostałem zaproszony do grona architektów, by porozmawiać na temat przyszłości, kształtu, obrazu przyszłej dzielnicy Garnizon. Nie rozpisane jeszcze były konkursy, żaden młot pneumatyczny nie huczał pomiędzy ulicami Słowackiego, a Szymanowskiego, pomiędzy Grunwaldzką, a Chrzanowskiego. Koszary – już bez wojska – czekały na przeszło dwudziestu hektarach na swój los. Rozbiórki. Przebudowy. Adaptacji. Dla mnie najważniejsza była Strzyża, zwana niekiedy buńczucznie rzeką: w istocie rzeczka, która dla Wrzeszcza była tym, czym dla Oliwy jej potok wykorzystany setki lat przez Cystersów. Jasne, że nie chodziło o przesunięcie koryta Strzyży, choćby ze względów powodziowych, ale poprowadzenie jej niewielkiego kanału środkiem osiedla łagodną serpentyną. Z małym stawem w centrum i odpowiednio nabrzeżną roślinnością. Tu stałby drewniany młyn i już wyjaśniam cel tej ekstrawagancji: po pierwsze naoczne przypomnienie losów dzielnicy, która dzięki mocom piętrzenia Strzyży właśnie, zawdzięczała swój historyczny rozwój. Po drugie wtórne, wewnętrzne upamiętnienie prehistorii tego miejsca. Mini izba pamięci w młynie: z grobem skrzynkowym i choćby jedną rzymską monetą z II wieku. To znaleziska z te-

rytorium dawnego Wrzeszcza. Nic by nie stało na przeszkodzie, by Muzeum Archeologiczne taki depozyt przekazało zarządowi Garnizonu. A w stawie? Hodowla karpia. I doroczne święto wyławiania jednego, świątecznego egzemplarza przed wigilią. Takie hiperlokalne święto mieszkańców. Doroczny Karp Garnizonowy stałby się ulubieńcem mediów. Z migawką w telewizji lokalnej i oczywiście selfie zwyczajcy. Kto miałby się zajmować hodowlą i zarządzaniem stawu? Jak nieżyjący już Stefan Bratkowski, jestem niepoprawnym optymistą: lokalna spółka trzech, czterech par entuzjastów, może emerytów, wsparta funduszem ekologicznym. A staw? Przy odpowiedniej roślinności przyciągałby motyle, ważki, ptactwo wodne. Wymarzone pole obserwacji dla maluchów, miejsce rodzinnych spotkań, ścieżka edukacyjna.

Tyle w założeniu globalnym. Co do architektury, marzyło mi się, żeby nowe budynki mieszkalne układały się falistnie wzdłuż kanału Strzyży. I żeby w licach elewacji nawiązywały do – skądinąd - niekoniecznie ulubionej pruskiej czerwonej cegły. Bardzo jednak gdańskiej, pomorskiej.

Dyskusja nad moim pomysłem potoczyła się właściwie jednorowo: pomysł małego, bystrego kanału Strzyży, z młynem i stawem w centrum osiedla zgromiony

został totalnie. Zagrożenie powodziowe to raz. Koszty to dwa. Przestrzeń osiedla – w rozumieniu liczby mieszkańców na metr kwadratowy – jest zbyt cenna, by oddawać ją na coś w rodzaju miniparku. Nie będąc Pierem della Francesca, ani żadnym innym projektantem miasta idealnego, pokornie wysłuchałem tych uwag. Szkic wykonany na brystolu – unikam komputeryzacji – powędrował na makulaturę. Nie zajmowałem się jednorazowo tym projektem z ambicji, czy chęci zaistnienia, to nie moje pole. Uprawiam literaturę, czyli sztukę pamięci. A koszary przy Słowackiego – zawsze mówiliśmy o nich nie inaczej niż pruskie koszary – były i są dla mnie takim odnośnikiem. Mogę powiedzieć, że wzrastałem w ich cieniu, podobnie jak w rytmach umarłej linii kolejowej. Jej odbudowa, a właściwie budowa od fundamentów cieszyła mnie, podobnie jak powstający Garnizon.

LITERATURA FAKTU

Nie pamiętam dokładnie, gdzie znaleźliśmy – Szymek, Piotr, Jacek i ja karabin austriacki manlicher. Na pewno w jednym z poniemieckich okopów, gdzie zawsze na chłopców czekały skarby. Tym razem nie był to hełm, zawieszka żelaznego krzyża, zdezelowane parabelum, czy przerdzewiały bagnet. Kara-



bin ten, skonstruowany przez inżyniera Manlichera w roku 1895 swoje złote lata święcił podczas I wojny, podczas drugiej służył jako uzbrojenie oddziałów pomocniczych. Pierwsze jego serie wyprodukowane na długo przed zamachem w Sarajewie miały kaliber 7 mm, który już podczas masowej produkcji podniesiono do 8 mm. Ten nasz znaleźny miał 7 mm, czyli dzisiaj stanowiłby coś w rodzaju białego kruka. Oczywiście wówczas niewiele o tym wiedzieliśmy, czy jednak nam się świeciły, bo manlicher zawinięty w parciany worek przeleżał w okopie oliwskiego lasu - przykryty corocznymi warstwami liści - w zasadzie w dobrym stanie. Miał nienaruszony zamek, sprawną iglicę i spust. Trzeba go było przemyć do domu, by w piwnicy poddać szczegółowym oględzinom, rozebrać, wyczyścić, naoliwić, złożyć i przywrócić do służby. Tak też się stało w piwnicy domu Piotra, gdzie jego ojciec miał doskonale wyposażony warsztat. Chciało nam się postrzelać, ale nie mieliśmy naboju. Nasz nieomylny instynkt powojennych dzieci natychmiast kazał nam pomyśleć o pruskich koszarach. Znalismy pragmatyzm tamtych czasów. Trzeba

było po zmianie warty na nocną podejść do wartownika przy jednej z bocznych bram i zaproponować transakcję. Okazało się to proste, jak kłamstwo, że wysypimy proch z łusek dla naszych rakiet. Akcja zbierania pustych butelek do skupu opakowań szklanych poszła prędko, pół litra kupił nam pan Romek za swoją część pieniędzy na ćwiartkę no i po kilku dniach mieliśmy arsenał: piętnaście naboju do kałasznikowa. Ale te, jak się okazało miały kaliber 7,62 mm. Cóż, zaczęło się w piwnicy jubilerskie piłowanie. W imadle każdy pocisk od kałacha podlegał obróbce. Jubilerskie, bo nie można było uszkodzić spłonki, co groziłoby eksplozją. Pierwsze strzelanie na Bukowej Górze poszło fantastycznie. Manlicher bił mocno. Strącaliśmy huby porastające pnie drzew. Przy następnym Szymek - uzdolniony plastycznie - namalował na papierze pakowym podobiznę Stalina. Wprawdzie ten już szczęśliwie nie rządził, ale z domowych szepców wiedzieliśmy już sporo o Katyniu. I tak to szło, ku satysfakcji kolejnych wartowników i naszej radości. Byliśmy drużyną gdańskich lwów. Aby nie nosić za każdym razem manlichera w worku po kartoflach do

lasu, zrobiliśmy w dolince skrytkę szalowaną deskami, pokrytą mchem i darnią. Nad nami buczały samoloty płynące na lotnisko Zaspą. Konspiracja była pełna, osiągnięcia strzeleckie coraz doskonalsze.

BEZ HISTORII

To nie były czasy reprintów map Gdańska z okolicami, albumów fotograficznych, opracowań. Kiedy od pana Romka - jeszcze przedwojennego tramwajarza - dowiedziałem się, że moja ulica Chrzanowskiego nosiła nazwę Hubertusburgeralee, pewien byłem, że u jej końca musiał stać jakiś zamek. Albo dwór. Najpewniej myśliwski, skoro - Huberta. Tego jednak nikt nie mógł wyjaśnić. Naszych rodziców czy dziadków zwyczajnie to nie interesowało. A my - chłopcy buszujący w zbożu poniemieckich szczątków - nie mieliśmy dostępu do podstawowych informacji. Jedno było pewne - pruskich koszar w mieście było więcej - by wspomnieć choćby ogromny kompleks przy Łąkowej, czy Dzierżyńskiego - dziś Legionów. Nie znaleźmy historii własnego miasta, poza czytanka-

mi o „dawnym polskim Gdańsku”. Tymczasem ta ilość militarnych skoszarowań wynikała z pruskiej polityki: miasto blisko granicy z Rosją miało być uzbrojone i gotowe. Co się stało w pierwszych tygodniach I wojny. Na fotografiach albumu „Był sobie Gdańsk” widzimy kawalerzystów Pierwszego Przybocznego Pułku Huzarów i Drugiego Przybocznego Pułku Huzarów imienia królowej Wiktorii jak eskortują rosyjskich więźniów spod Tannenbergu. Miejsca wielkiego zwycięstwa Niemców. Jest wrzesień. Piękna pogoda. Tłumy mieszkańców Wrzeszcza jeszcze w letnich strojach wiwatują z chorągiewkami w dłoniach. Kawalerzyści prezentują się doskonale. Na dorodnych koniach, wysocy, w gęsto szamerowanych kurtkach, no i w czapkach z trzypiętą czaszką. Rosjanie to szary tłum piechoty, zmęczeni upałem i kilkusetkilometrową wędrówką drogami Prus Wschodnich. Nie wiedzą jeszcze, że choć teraz przebrani, w istocie wygrali: przetrwają koszar okopów I wojny - miesiące w zakrwawionych okopach, tyfus, dezynterie – w niewoli. Za chwilę wmaszerują do „naszych koszar”. Zostaną nakarmieni, odwszeni, i skierowani do obozów jeńców. Z dumnych huzarów niewielu

wróciło w roku 1919 do swojej jednostki. Która w Wolnym Mieście Gdańsku została przeznaczona na koszary policyjne. A Hubertusburgeralee?

Ta niemiecka nazwa mojej ulicy Chrzanowskiego miała związek z patriotyzmem pruskim, państwowym militarystycznym Hohenzollernów. 15 lutego 1763 roku na zamku Hubertusburg po wojnie siedmioletniej podpisano pokój pomiędzy Austrią a Prusami. Fryderyk II zwany Wielkim zyskał wtedy większą część Śląska. Wygrał z cesarową Austrii Marią Teresą i ugruntował hegemonię Prus. Zamek, a raczej pałac w Hubertusburgu wybudował król Polski August II Sas. W 1903 roku w okrągłą rocznicę tego tryumfu, części ulicy Polanki (Pelonkerweg) nadano tak patriotyczną nazwę, zapewne dlatego, by ów wielkoniemiecki duch owionął przylegające już do niej koszary.

RUSTYKALNE PRZEDMIEŚCIA

Tak określił Czesław Miłosz fenomen swojej wileńskiej młodości. Tu wieś ze wszystkimi jej atrybutami i zapachami, a nie dalej jak dziesięć minut jazdy tramwajem kino, neony, sklepy, samochody.

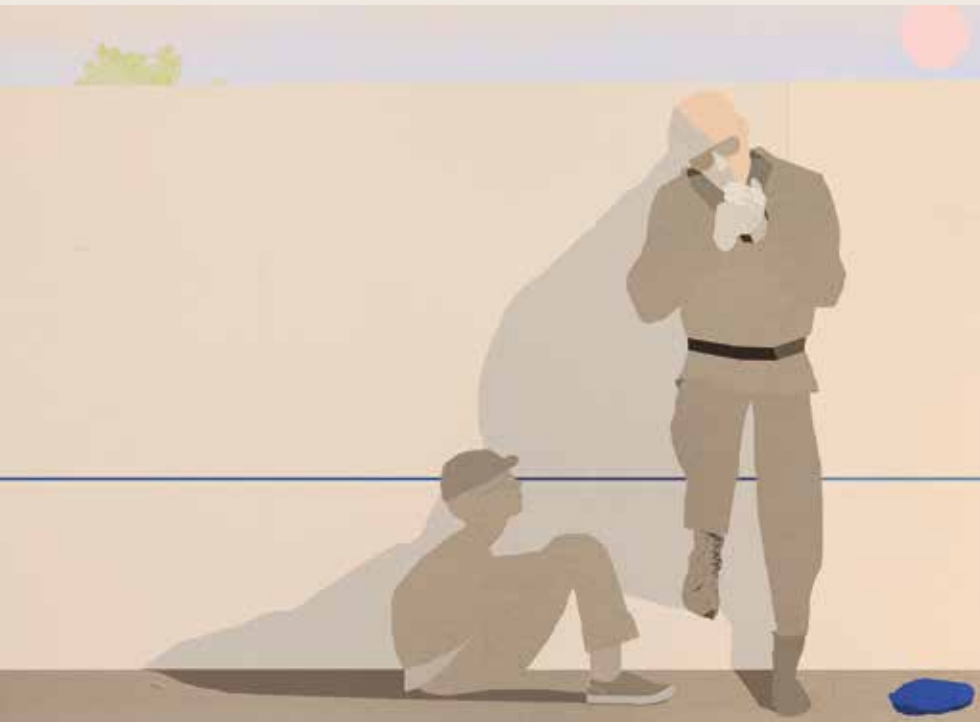
Podobne było dzieciństwo w sąsiedztwie pruskich koszar. Pianie kogutów, zapach sianokosu, wypasane konie i krowy: wszystko to należało do świata w sposób naturalny i oczywisty, podobnie jak Grunwaldzka we Wrzeszczu z rozpędanym tramwajem, dwoma domami towarowymi, ciągiem handlowym sklepów, jakiego nie było w Śródmieściu, i rzecz jasna – nieśmiertelnym neonem u wylotu Jaśkowej Doliny – Gdańsk Miastem Kwiatów. Koszary były pograniczem świata półwsi i miasta.

W części przylegającej do Chrzanowskiego dotykały przez kocie łby ulicy do zbiornika retencyjnego Strzyży. Wysokie przeciwpowodziowe wały strzegły kilku hektarowego obszaru, który w czas roztopów czy jesiennych deszczy zamieniał się w jezioro. Dzisiaj stoją tu wieżowce z epoki Gierka.

W czasach, do których się odwołuję, gdy koszary zapełniała Łużycka Dywizja Desantowa, czyli niebieskie berety, staw alias jezioro najprzydatniejszy okazywał się latem – w postaci bujnej łąki – i zimą – ogromnego lodowiska.

W piątę różnił się namiętnie od kwietnia do jesieni. Zazwyczaj, aby rozegrać mecz, najpierw należało przepalikować ze dwie krowy i konia. To słowo – przepalikować – jest chyba pierwszym, jakie poznałem z dziedziny rolnictwa. To właśnie na tamtej murawie, w cieniu koszar, Weiser Dawidek pomógł swoim kolegom z Chrzanowskiego, Karłowicza i Modzelewskiego (dziś Sychty) wygrać pamiętny mecz z wojskowymi. Czyli synami trepów.

Zimą staw zamieniał się w ogromne lodowisko. Przy większych opadach śniegu, zazwyczaj na przełomie stycznia i lutego, nie sposób było odszufflować całej gładzi. Ale wystarczająca była dla hokeja i popisów jazdy figurowej mniej więcej jedna piąta powierzchni. Natomiast hazardowne i wojenne gry przynosiła wiosna, wraz z krami. Trzeba było mieć długie drogi do popychania naszych pan-



cerników i niszczycieli, które w zwarciu trzaskały czasem na kawałki i wówczas kodeks marynarki wojennej był wypełniany honorowo: rozbitków przyjmowało się na własną krę.

Z zupełnie innych powodów ekscytująca była wobec koszar procesja Bożego Ciała. Jej trzeci ołtarz ustawiano zaraz po skrócie z Zamenhova w prawo, na Szymanowskiego. Tłumy niezliczone przysłuchiwały się temu, co proboszcz Duda od Zmartwychwstańców wygłaszał przez mały megafon. W kierunku szczelnie pozamykanych okien koszar, bo przecież żołnierze Ludowego Wojska Polskiego nie powinni byli słuchać ani o Eucharystii, ani zgubnym odchodzeniu od wiary i tradycji. Procesja zmierzała następnie aż do Chrzanowskiego, pod rzędem drzew orzechowych. Nie krzewów – ale drzew. Tureckie leszczynowce – wedle klasyfikacji łacińskiej *colyrus colurna* – jakoś dawały sobie radę w naszym klimacie. Jesienią kiście orzechowe raczej same nie opadały, trzeba je było strącać kijami od klipy czy palanta.

CZOŁGI I LEWIZNY

Często jakiś pluton kotów wyruszał z koszar, by pod okiem kaprała ćwiczyć uliczny marsz ze śpiewem. Kapral pilnował równego kroku marszowego, a zapiewało intonował pierwszy wers pieśni zbiorowej –

Ja byłem do wojska też przynależniomy: cztery!

A trochę potem było o śmierci walecznego szeregowca –

Napisz do ojca, napisz do matki, napisz do lubej dziewczyny: cztery!

Że ostra kula pierś mi przeszła, o w pół do piętej godzinie: cztery!

Zazwyczaj okrążali dzielnicę trasą – Zamenhova – kwadrat (dziś plac gen. Maczka) i Chrzanowskiego z powrotem do jednostki. Były to przemarsze bezpieczne: samochód, jeśli się pojawiał na tej trasie, to z częstotliwością jednego na dwie-trzy godziny. Szkoda, że nie

śpiewali *O mój rozmarynie*, albo Piechoty, które mój dziadek legionista tak lubił nucić przy goleniu, ale cóż, czasy gdy na dawnej pętli dwunastki stanie pomnik marszałka Piłsudskiego miały dopiero nadejść. Niebieskie berety szkolili się do przeprowadzenia desantu na Danię.

Może dlatego co jakiś czas czołgi i dwulufowe działa samobieżne opuszczały koszary, by ulicami naszej dzielnicy z potwornym hałasem zaliczyć rajd aż do Polanek? Mieli przecież dwa poligony: ten na Morenie i bliższy na Niedźwiedniku, zatem drogą dedukcji należało domniemywać, że ćwiczą właśnie wjazd do sennego duńskiego miasteczka. Co na szczęście i dla Układu Warszawskiego, i dla NATO, i dla nas, i dla spokojnych Duńczyków się nie spełniło.

Oprócz czołgów koszary generowały lewizny. Widok żołnierza przesadzającego mur szczególnie wiosną, szczególnie wieczorem, należał do codzienności. Szeptanki i obłapki w pobliskich podwórkach, flaszka z kolegą z zewnątrz – chyba to były cele zasadnicze. Ale zdarzały się też ucieczki irracjonalne, jedną z takich przeżyłem jako współuczestnik. Alejką pomiędzy ogrodami Karłowicza i Żeleńskiego biegł żołnierz, za nim, jakiegoś pięćdziesiąt metrów rozpedzał się łaźnik WSW. Podlewałem grządkę pomidorów, instynktownie odstawiłem konewkę i krzyknąłem do uciekiniera – tutaj, za tył domu! Zdążyłem zamknąć go w naszej piwnicy, a kiedy wróciłem do konewki, ogród przeszukiwali już żandarmi.

- *Nie widziałeś go?* – wypytywał mnie szef pościgu – *Przecież wbiegł gdzieś tutaj.*

- *Nie, proszę pana, to znaczy tak, widziałem, jak pobiegł w stronę Kartowicza.*

Odjechali. Odczekałem kwadrans, po czym wypuściłem zbiega. Staliśmy z tyłu domu, nie od ulicy.

- *Pewnie nie palisz. Za młody jesteś, co?*

- *Nie palę.*

- *A ja bym strasznie teraz zapalił. Ale nie mam.*

- *Da się zrobić* – powiedziałem – *Chwila.*

Wróciłem z mieszkania z napoczętą paczką giewontów i pudełkiem zapalek.

- *O jak fajnie* – zaciągnął się łańczywie – *Bratu podebrałeś?*

- *Ojcu.*

- *O, poważna sprawa. Żłoi cię?*

- *Raczej nie zauważy.*

- *Myślisz, że coś ukradłem? Postrzelilem sierżanta?*

- *Nie, proszę pana.*

- *To czemu mi pomogłeś?*

- *Nie wiem.*

- *Widzisz, ja też nie wiem, dlaczego czasem muszę biegnąć przez bramę wypruć na wolne. Tak, żeby mnie widzieli. Jak mnie nie złapią, to sam wracam do koszar.*

- *Biją potem pana?*

Roześmiał się.

- *Żomz. Zakaz opuszczania miejsca zakwaterowania. Może być karcer. Albo mycie szacry. I tak dalej. Pochodzę sobie, a wieczorem przeskoczę mur i w moje wyro. Dupną mnie na porannym apelu.*

Odszedł z paczką giewontów i pudełkiem zapalek.

LITERATURA FAKTU

Pewnego razu któryś z pocisków do manlicera nie został spłutowany należycie. Strzelał Jacek. Szczęśliwie nie wywaliło zamka, tylko rozerwało lufę. Urządziliśmy pogrzeb karabinu. I cóż? Pozostawało wrócić do poprzedniej pasji – niewypałów. Szczególnie w dziedzinie tak zwanych rybek byliśmy fachowcami. Granat moździerzowy przypominał rybę. Z tyłu miał lotki i spłonkę. Można było odkręcić tę część i wysypać proch. Był fantastycznym paliwem do naszych rakiet. Najczęściej robionych z aluminiowych tubek po leczniczym wapnie. Ale – teraz – to nie znaczyło – wczoraj – kiedy taką rybkę wygrzebać można było bez trudu w leśnych okopach. Ostatecznie znaleźliśmy pocisk w okolicach głązu narzutowego, ale był tak porzdewiały, że nie dało się go ręcznie rozbroić. Potrzebny był młotek i coś na podpórke.



Już na podwórku, pod uchylonym oknem naszej sypialni, gdzie ojciec odbywał właśnie poobiednią drzemkę, na pieńku do rąbania drewna ułożyliśmy rybkę tak, żeby lotki wystawały na zewnątrz. Piotr i Szymek trzymali korpus – by nie odskakiwał – Jacek i ja na zmianę uderzaliśmy w lotki. Nie chciało puścić. Już rozważaliśmy jakąś inną metodę, kiedy mój ojciec wybudzony odgłosem metalicznych uderzeń wyjrzał przez okno. Jego krzyk pamiętam do dzisiaj. Zepsuł nam zabawę.

Najpierw przyjechała milicja. Otoczyła pocisk taśmą. Po chwili wraz z ciężarówką i łażnikiem pojawili się saperzy z koszar. Kazali mieszkańcom zamknąć okna i nie zbliżać się do nich pod żadnym pozorem. Ale my mieliśmy już punkt obserwacyjny z piwnicznego okienka. Saperzy ułożyli pocisk w skrzyni wyściełanej sianem, załadowali go na ciężarówkę i odjechali. Wiedzieliśmy gdzie – na strzelnicę w głębokim jarze Niedźwiednika. Biegliśmy przez Bukową Górkę i skraj Brętowa, by ukryci w trawie na wzgórzu zobaczyć jak sobie poradzą żołnierze.

Na początku szło słabo. Saperzy wykopali dołek podścielany brezentem, nala-

li do niego ropy i ułożyli lont. Ale ropa nie zapala się od lontu. Dopiero kiedy żołnierze dywizji desantowej Układu Warszawskiego wybrali ropę z dołka mezażkami i w jej miejsce podlali benzynę, była jakaś nadzieja na efekt. Istotnie. Nowy lont palił się równie szybko co poprzedni, dołek zajął się płomieniami i po chwili w strzelniczej dolinie rozległo się głucho – buuum!!! Nasze paliwo do rakiet zostało zmarnowane.

Ojciec nie dawał mi manta. Ale otrzymałem dwutygodniowy zakaz opuszczania miejsca zakwaterowania, oraz absolutny nakaz meldowania o znalezionych niewypałach.

Dodam, że każdorazowe wakacje w naszej szkole 66 przy Marcelego Nowotki – dzisiaj Wilka Krzyżanowskiego – każdorazowe absolutnie wakacje zatem, poprzedzane były tym samym filmem – o grupie chłopców okaleczonych do imentu (ręka, oczy, noga) zabawą z niewypałem. Film był przejmujący.

Inna sprawa, że w miejscu obecnego kościoła Zmartwychwstańców w roku 1953 podczas zabawy z granatem zginęli dwaj chłopcy. Niejaka Marta Hahn doznała wówczas objawienia, że właśnie

w tym miejscu stanie kościół. Nowy, bo poprzedni Zmartwychwstańców – drewniany barak – znajdował się mniej więcej w miejscu obecnej poczty na placu generała Maczka. O tamtej tragedii przypomina tablica przy obecnym kościele.

LITERATURA FAKTU RODZINNA

Mój ojciec nie pił alkoholu. Nie dla tego, że nie mógł, ale po prostu nie lubił. Powtarzał zawsze, że w stan upojenia wprowadził się tylko raz: kiedy skończyła się wojna. Raz do roku w swoje i mojej mamy imieniny obchodzone wspólnie – Tadeusza i Ireny – wypijał dwa, trzy kieliszki wermutu. Zakupionego w delikatesach przy Grunwaldzkiej. W pewnym sensie czyniła nas ta abstynencja odmińcami, zwłaszcza w dniach wyptat, kiedy niejedne smutne odgłosy dochodziły z sąsiedztwa. Były to czasy nie tylko bez internetu. Także bez bankowych kont. Żony starały się odebrać mężom to, czego nie zdążyli przepić w piwiarniach Pod Kasztanami, u Łonki czy w Lilipucie.

Pewnego dnia zadzwonił telefon. Ojciec oświadczył, że pojedzie w sobotę do ka-

syna oficierskiego na spotkanie z pułkownikiem Adamem B., który objął właśnie garnizon niebieskich beretów. Zdumienie, wręcz konsternacja zapanowały ogromne, ponieważ to absolutnie nie były nasze sfery. Byliśmy - mówiąc delikatnie – rodziną wewnętrznej emigracji. Bez puszenia się i tyrad przy niedzielnym obiedzie, ale jednak na bocznym torze. Skąd nagle oficierskie kasyno, jakiś w dodatku pułkownik B.?

Ojciec, który o swoich wojennych losach niewiele mówił, coś niecoś musiał wyjaśnić. Z kolegą B. był najpierw w Szarych Szeregach, następnie w Pięćdziesiątym Piątym Pułku Piechoty Armii Krajowej, w batalionie Barbara. Pan B. miał pecha, na skutek zawiłych okoliczności wcielony został do armii Berlinga, z którą dotarł do Berlina, mój ojciec zaraz po wojnie udał się do Gdańska, gdzie zapisał się na Politechnikę. Odtąd się nie widzieli. A tu telefon i zaproszenie do kasyna. Wielkie zaskoczenie. Ojciec w klapę najlepszej marynarki wpiął dyskretnie baretkę krzyża walecznych, który otrzymał w roku 1944 za potyczkę pod Rożnowem. I – zabrany spod domu wojskowym łażikiem z kierowcą i adiutantem ruszył w czerwcowy wieczór do kasyna pruskich koszar, na rogu Słowackiego i Grunwaldzkiej.

Leżeliśmy z bratem w swoich łóżkach, snując rozmaite przypuszczenia. Co to była ta potyczka pod Rożnowem? Z jakiego karabinu mógł strzelać wtedy ojciec? Czy zabił jakiegoś Niemca? Czy ten B. – obecnie pułkownik Ludowego Wojska Polskiego - był z ojcem w tej bitwie, jak

się to mówi, ramię w ramię? Fantazjowaliśmy różne warianty, oczekując nocnego powrotu taty, podekscytowani. Wreszcie na kocich łbach Chrzanowskiego zadudniły opony i snop reflektorów zatrzymał się przed naszym domem. Adiutant wraz z kierowcą wydobyli naszego ojca z łażika i podtrzymując go obustronnie doprowadzili do drzwi mieszkania, zapukali sążnięcie ze dwa razy i szybko odeszli. Mama odebrała tatę jak niestandardową przesyłkę. Słyszeliśmy, jak układa go w łóżku, zdejmując buty, biegnie do łazienki po miednicę... Następnego dnia ojciec nie wstał na nasze niedzielne śniadanie. Mama nie była zła, a my z bratem chichotaliśmy, że ojciec upił się drugi raz w życiu od zakończenia wojny, tym razem w garnizonie niebieskich beretów. Pułkownik B. nigdy nie złożył wizyty w naszym mieszkaniu i z tego co pamiętam ojciec nie wybrał się już drugi raz do pruskich koszar. Nie rozwinął też wojennego wątku. Dopiero parę lat przed swoją śmiercią opowiedział mi, jak wyglądała potyczka pod Rożnowem. Opisałem ją w powieści *Śpiewaj ogrody*. Podobnie jak naszą wspólną noc spędzoną na mieliźnie Zatoki Puckiej, na kutrze szypra Struka. W czasie, kiedy pisałem tę książkę, młoty pneumatyczne i buldożery już rozpoczęły swoje dzieło w garnizonie. Nie było mi niczego żal, poza była kaplicą ewangelicką – przynależną niegdyś do koszar, którą znałem z dzieciństwa jako kino Znicz. W porównaniu z Tramwajarzem i drewnianymi krzesłkami Znicz miał wykwentne wyściełane fotele. Panoramiczny ekran. W porów-

naniu z Bajką zaś – znacznie lepiej wyposażony bufet. Mandarynka, słone paluszki, groszki, krówki na wagę - tego nie było chyba nawet w śródmiejskim kinie Leningrad.

MAGDALENKA

Proustowska oczywiście. Ale co nią było w przypadku garnizonu? Zapach spalin, jakie pozostawiały czołgi na naszych ulicach? Piosenka śpiewana przez kółców? Szary dym kadzidła w Boże Ciało przed koszarami? Orzechy przy Szymonowskiego? Łyżwy, kry, boisko na stawie z widokiem na pruskie mury? Smar do manlichera? Pokątne kupowanie naboju od kałacha za pół litra?

A może jednak czubki? Kiedy na strzelnicy Niedźwiednika żołnierze kończyli strzelania i wymaszerowywali ulicą Słowackiego do swojej siedziby, my buszowaliśmy już na strzelniczym wale. Wygrzebując z piachu czubki pocisków. Były bezcenne do zabaw indiańskich. Stalową koszulkę trzymając w obcęgach nad gazem pozbawiało się ołowianej zawartości. Po ostrzącym spiłowaniu nasadzało się na leszczynową strzałę. Jeżeli łuk niósł dobrze, strzała wbijała się w deskę na głębokość do dwóch centymetrów.

Więc chyba jednak to: koszulka od kałacha. Jedna z nich, po moich licznych przeprowadzkach, kiedy osiadłem przed dwoma laty znów na Chrzanowskiego, odnalazła się w pudle z drobiazgami. Obok krzyża walecznych mojego ojca i mojej legitymacji szkolnej. Sic transit.



PAWEŁ HUELLE – prozaik, poeta, scenarzysta i dramaturg, od urodzenia związany z Gdańskiem i chętnie powracający w swojej twórczości do tematyki rodzinnego miasta. Laureat wielu prestiżowych nagród literackich. Jego przywiązanie i sentyment do Wrzeszcza i Strzyży są szczególnie widoczne w debiutanckiej powieści „Weiser Dawidek” (1987), zaliczanej już do klasyki polskiej literatury współczesnej i zekranizowanej w 2000 r. przez Wojciecha Marczewskiego w filmie „Weiser”.

Justyna Glazar

„SZARZA”

RZEŻBA Z NIESPODZIANKĄ

Sztuka w przestrzeni publicznej to wynalazek, który towarzyszy ludzkości od zarania dziejów, dlatego pomysł stworzenia w Garnizonie pola do artystycznych poszukiwań nie był nową ideą - jako deweloper odpowiedzialny za ten kawałek miasta kontynuujemy jedynie dobre tradycje zapoczątkowane przez starożytnych Greków.

Od pierwszych artystycznych interwencji, jakie udało nam się wprowadzić do Garnizonu, minęło już dobrych parę lat. Twórczy ferment stał się w Garnizonie udziałem zarówno studentów i absolwentów uczelni artystycznych, jak i uznanych artystów z dużym doświadczeniem. Tylko nieznaczna część z dotychczasowych realizacji ukryta jest we wnętrzach kwartałów zabudowy. Na przeważającą większość prac można z łatwością natrafić podczas spaceru po Garnizonie. Miejscom, w których są wyeksponowane, nadały warstwę sym-

boliczną i uplastyczyły je. Prowadzą z tych miejsc dialog z nami, odbiorcami. Zdarzy się, że skłonią nas do refleksji i własnych skojarzeń, a bywa, że i wytrącają z codzienności.

Niektóre dzieła stały się elementem identyfikującym charakter miejsc, w których się pojawiły. „Rzeźba z niespodzianką” jest tego najlepszym przykładem.

Do powstania instalacji artystycznej znajdującej się na skwerku przy ulicy Hemara doszło w 2015 roku, w wyniku zorganizowanego we współpracy z gdańską Akademią Sztuk Pięknych

ogólnopolskiego konkursu dla absolwentów uczelni artystycznych. Pierwsze miejsce zdobył w nim Jacek Świętnicki. Mierząca 5 metrów wysokości forma przestrzenna wykonana została z polerowanej stali nierdzewnej inkrustowanej czarnym dębem, materiałem pochodzącym z dna Bałtyku i służącym niegdyś do produkcji wysoko cenionych mebli gdańskich. Miejsca na prętach, w których pojawia się biżuteryjna inkrustacja, nie są bynajmniej przypadkowe - do tego wątku jeszcze powrócimy. Obecnych w instalacji odniesień do hi-

JACEK ŚWIĘTNICKI jest artystą rzeźbiarzem, absolwentem Wydziału Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, specjalizacja - Medalierstwo i Małe Formy Rzeźbiarskie. Dyplom uzyskał w 2011 roku w pracowni prof. Katarzyny Józefowicz. Zajmuje się przede wszystkim rzeźbą we wszystkich materiałach, biżuterią drewnianą i metalową, sztuką użytkową.

stории jest więcej. Rozstawienie stalowych prętów bliskie jest ostatniej fazie ataku lekkiej kawalerii. Rzeźba momentami zagęszcza się, by w innych miejscach rozluźnić swą strukturę, wpuszczając zaintrygowanych przechodniów do jej wnętrza. Poza akcentami historycznymi, można również doszukiwać się w niej odniesień do sąsiadującej ze skwerem architektury budynku Hemara 3, czy do rytmów obecnych na elewacjach Słonimskiego 6. Wyjątkowego uroku nie można rzeźbie odmówić nocą, gdy w stalową kompozycję wkracza niezwykła gra światła.

Jacek Świętnicki nie nadał swojej pracy tytułu, jednak jego opowieść o próbie nawiązania układem stalowych prętów do szyku bitewnego kawalerii zainspirowała jury konkursowe do nadania jej nazwy „Szarża”. Pomysł na nazwę spotkał się z niemal natychmiastową akceptacją samego autora i tak już zostało.

Mimo że powstaniu rzeźby towarzyszyły kontrowersje związane z jej zbyt współczesną jak na historyczne sąsiedztwo i za mało przyjazną formą (przez niektórych odbieraną wręcz jako agresywna), to z perspektywy czasu widać, że obawy te się nie potwierdziły. Najeżony (po) twórca został szybko obłaskawiony, i to nie przez kogo innego, jak przez dzieci, dla których „Szarża” to miejsce prowokujące do radosnej zabawy. Do interakcji zachęca zresztą nie tylko najmłodszych. Swego czasu w objęciach jej stalowych ramion „przytapałam” muzyków zespołu Lao Che, którzy przed koncertem

w Starym Maneżu postanowili zwiedzić okolicę i zrobić sobie pamiątkowe fotki. A co z niespodzianką? Oczywiście, że jest! Ułożenie kawałków dębu na metalowych prętach „Szarży” nie było sprawą przypadku. Autor dokładnie zaplanował ich położenie i ukrył w rzeźbie... obraz. Wystarczy stanąć przed „Szarżą” w odpowiednim miejscu, a kawałki drewna ułożą się w sylwetkę huzara na koniu. Co to za miejsce? Nie ułatwię zadania. Życzę Wam udanych poszukiwań i satysfakcjonujących przygód ze sztuką.

JUSTYNA GLAZAR

Członek Zarządu Grupy Inwestycyjnej Hossa



← ↑ FOT. ANDRZEJ ŁOPATA ↓ HANNA JAKÓBCZYK/SYLWIA JANKOWSKA



Paweł Durkiewicz

KAMPUS, CZYLI STUDENCKIE OBLICZE GARNIZONU

Stanowią najbardziej energetyczną i kreatywną część społeczności Garnizonu. Studenci trójmiejskich uczelni mieszkający w jedynym w swoim rodzaju prywatnym kampusie przy ulicy Słowackiego 19 cenią sobie swobodną atmosferę Garnizonu Kultury, sprzyjającą pracy twórczej i ciekawemu życiu towarzyskiemu. Kampus w Garnizonie to pierwsza tego rodzaju przestrzeń stworzona dla studenckiej braci w Trójmieście.

Historia Kampusu rozpoczęła się wraz z otwarciem Garnizonu Kultury. W październiku w 2015 roku do jednego z odrestaurowanych budynków wprowadzili się pierwsi studenci, wśród nich również członkowie koła naukowego Politechniki Gdańskiej SimLE, którzy w udostępnionej przez Hossę pracowni budowali swój mobilny symulator lotów Cessną. W Kampusie swoje początki miał też akcelerator przedsiębiorczości Clipster, będący dla uczestników programu zarówno miejscem zamieszkania, jak i wykuwania innowacyjnych pomysłów biznesowych

pod okiem doświadczonych tutorów. W sezonie wakacyjnym studenci dzielą przestrzeń Kampusu z turystami, którzy chętnie zatrzymują się tu podczas pobytu w Trójmieście.

O tym, że jest to miejsce jedyne w swoim rodzaju, świadczy też ciekawa historia budynku, w którym Kampus się znajduje. Esprit Haus to odnowiony gmach z końca XIX wieku, początkowo przeznaczony na kwatery dla huźarów pruskiej kawalerii, stacjonującej we wrzeszczańskich koszarach. Po ponad stu latach zamiast surowej wojskowej

dyscypliny panuje tu studencki luz i inspirujący klimat.

Sprzyja temu nietuzinkowe sąsiedztwo: pod tym samym adresem funkcjonuje Sztuka Wyboru, dwupoziomowa przestrzeń łącząca w sobie kawiarnię, księgarnię, galerię sztuki i sklep z polskim wzornictwem, a także pracownia krawiecka Koty na Płoty, studio fotograficzno-filmowe WRZEpracownia oraz Kreatywna Cafe. Wspólnym mianownikiem łączącym wszystkie te miejsca jest z pewnością twórczy ferment.



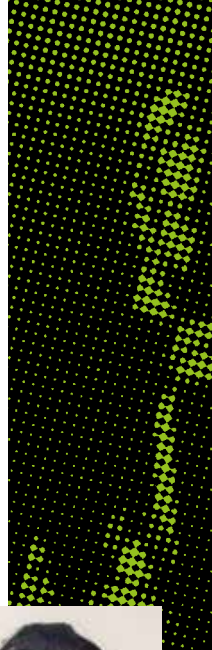
- Jako artysta zajmujący się malowaniem obrazów oraz budową domów z drewna łączę życie ze sztuką, a głównie ze Sztuką Wyboru, gdzie oprócz pysznej kawy znajdzie się co miesiąc jakaś nowa inspirująca wystawa artystyczna - uśmiecha się Adam Spittal, świeżo upieczony absolwent Uniwersytetu Morskiego w Gdyni, mieszkaniec Kampusu od czterech lat. - Życie tutaj toczy się swoim spokojnym rytmem, a ludzie integrują się i uśmiechają do siebie. Kocham w Garnizonie to, że tworzy niezależną przestrzeń w samym centrum miasta. Cenię sobie zwłaszcza zieleni i trawnik, gdzie po pracy można zaczerpnąć powietrza.

Kampus to przestrzeń do życia i mieszkania, obejmująca jedno- i dwuosobowe nowoczesnie zaaranżowane mikro lofty. Każdy z nich na stosunkowo niewielkiej, dwupoziomowej przestrzeni mieści stanowisko do pracy, przytulne miejsce do spania i wypoczynku, aneks kuchenny i łazienkę z prysznicem. W budynku znajduje się również pralnia. Pokoje posiadają widoki na starodrzewem (idealnie sprawdza się na piknik na trawie). Najbliższe otoczenie to również malowniczy potok Strzyży z dwoma stawami, Bazar

Natury oraz klub Stary Maneż, w którym regularnie odbywają się koncerty polskich i zagranicznych artystów. Aktywniejsi mieszkańcy Kampusu chętnie korzystają z efektownego linarium, zajęć i warsztatów organizowanych przez sąsiadujące z Kampusem szkoły artystyczne, a także obiektów sportowych - Klubu Badmintonu i centrum boulderingowego Murall.

Jest więc wszystko, czego potrzeba dla ciała i ducha, a niebagatelną wartością dodaną jest niejako automatyczna przynależność do dobrze zgranej, energicznej społeczności.





- Moja przygoda z Kampusem i Garnizonem zaczęła się ponad 4 lata temu - mówi Joanna Grzanka, studentka pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. - To właśnie tu rozwijam się jako studentka, pracownik, ale również jako człowiek. To tu spotkałam inspirujących ludzi, usłyszałam ciekawe historie i zobaczyłam zapadające w pamięć obrazy, które wzbogaciły moje życie. To przyjaźnie, miejsca, dźwięki, zapachy i atmosfera, która zostaje w sercu na zawsze.

Mieszkanie w Garnizonie to dla studentów z jednej strony przyjemne sąsiedztwo, z drugiej zaś – idealna lokalizacja w relacji do wszystkich najważniejszych trójmiejskich uczelni. Dojazd komunikacją miejską na Uniwersytet Gdański, Gdański Uniwersytet Medyczny czy Politechnikę Gdańską zajmuje nie więcej niż akademicki kwadrans. W samym Garnizonie i jego najbliższych okolicach nie brakuje też lokali usługowych, w których można podjąć pracę w elastycznych godzinach. Wielu studentów, często jeszcze przed ukończeniem edukacji, decyduje się rozpocząć profesjonalną karierę w jednej z dużych firm, mających swoje siedziby w tutejszych biurach.

Podkreśliśmy jednak, że mieszkańcy Kampusu to nie tylko studenci, lecz także młodzi absolwenci i osoby wkraczające w dorosłość, często poszukujące swojego pomysłu na karierę i rozwój osobisty. Towarzystwo jest ze wszech miar różnorodne i międzynarodowe, co sprzyja zawieraniu niebanalnych znajomości, inspirującej wymianie myśli,

a niekiedy daje początek wspólnym projektom biznesowym czy artystycznym. Już niebawem żywiłowa społeczność Kampusu powiększy się o mieszkańców sąsiedniego budynku położonego przy ul. Słowackiego 13, gdzie przed rozpoczęciem nowego roku akademickiego zostanie udostępnionych 70 nowych

mikro loftów. Sądząc po dotychczasowym zainteresowaniu ofertą Kampusu, zapelnia się one błyskawicznie. Warto więc w porę zarezerwować sobie miejsce, a najprostszy na to sposób to skorzystanie z formularza na stronie internetowej kampus.pl.



PRZYPADKI (i KOTY) CHODZĄ PO LUDZIACH

Ewa Piątkowska

Brrr. To był zimowy dzień. Powietrze ściał siarczysty mróz. Pamiętam jak dygotałam z zimna nad klawiaturą, próbując nie myśleć o tym, że zaraz odpadnie mi ta część ciała zwana stopą. Do dzisiaj zastanawiam się jak to możliwe, wszak oficjalnie od piętnastu lat mieliśmy do czynienia z globalnym ociepleniem. Liczba sprzedawanych kłapek, szortów i ręczników plażowych w tej części Europy wzrastała każdego roku, dając godny byt (?) dla pośredników i ich rodzin, rodzin ich rodzin, pracowników budżetówki, polityków, ich rodzin i rodzin ich rodzin.

Mieliśmy wtedy z Dominikiem sklep w kontenerach przy Starym Maneżu. To było nasze oczko w głowie. Pierwszy lokal dumnie prezentujący pokrętną nazwę naszej marki EVC DSGN. Kochaliśmy to miejsce. Miało swój klimat. Było idealnym tłem dla naszych autorskich ubrań, które szargały nerwy wszystkim mającym zachowawcze podejście do mody. Bywało czasem, że i wybitnie liberalnym jednostkom pękała żyłka na widok naszej twórczości. Pełno w niej było koloru. Siedziałam sobie tak przed monitorem przebijając z nogi na nogę i próbując sklecić coś sensownego, gdy zjawił się ON. Takim typkiem lepiej zejść z drogi, uprzednio się kłaniając. Warto też szybko odwrócić wzrok. Tak dla bezpieczeństwa. Na wszelki wypadek.

Minę miał poważną. Wzrok surowy. Uważnie punktował wnętrze lokalu. Stał w przeszkleeniu drzwi zupełnie jakby wiedział, że trafił pod właściwy adres. Sterczał tak i hipnotyzował klamkę, ale ta ani drgnęła, skubana. Trwało to dłuższą chwilę. W końcu zrezygnował i się oddalił. Przez cały ten czas stwarzałam wrażenie osoby niewiarygodnie pilnie pracującej, ale kątem oka rejestrowałam tę dziwną sytuację. Uznałam ją jednak ostatecznie za zabawny przypadek i wróciłam do swoich zajęć. Jakie było moje zdziwienie, kiedy następnego dnia ów delikwent znów pojawił się przed moimi drzwiami. Tym razem już z uporem maniaka tkwił na wycieraczce i czekał, aż zmięknie moje skostniałe serce. No i, masz babo placebo, w końcu zmiękło. Wstałam od nie-

chcenia, żeby chłopak nie pomyślał, że jakaś łatwa jestem. A może się łudziłam, że gdy stanę w drzwiach osobnik odwróci się na pięcie i pierzchnie gdzieś szybko. Nie tym razem. Otworzyłam drzwi i zaprosiłam go do środka. Chyba poczuł, że jest u siebie, bo rozgościł się na podłodze w najlepsze.

Tak oto zostałam wybrana spośród setek innych kandydatów zebranych o jego jedno krzywe spojrzenie.

Tak też zaczęła się nasza przygoda.

Kot, bo o nim mowa, otrzymał dostojne imię Pan Kot i został. Zanim to jednak zrobił rwaliśmy włosy z głowy, bo jak tu zostawić kocura nabitego testosteronem na noc w sklepie z odzieżą?! Przecież finał mógł być tragiczny. Ostatecznie dwie noce pełne stresu i wizyta u weterynarza załatwiły sprawę, zmieniając

tym samym formę osobową kota z męskiej na nijaką.

Pan Kot dorobił się misek, legowiska i kuwety. Dostał też cały worek kocich zabawek, które zwykle kupują rozhisteryzowani właściciele swoich pupili.

Przez następne 4 lata, które z nami był, owinął sobie nas wokół pazura. Z czasem przestała mu wystarczać nasza atencja i zaczął podbijać nowe miejsca na mapie Garnizonu. Bywał w Sztuce Wyboru czy w Pobitych Garach. Urządzał sobie wycieczki na Bazar Natury. Uczęszczał nawet na dłuższe spacerunki do Mielnika, gdzie kładąc się w drzwiach i tarasując przejście skutecznie zdobywał przysmaki.

Był również stałym bywalcem Starego Maneżu. Zjednał sobie tam klientów i obsługę stając się swego rodzaju maskotką. Za dnia spotkać go było można zazwyczaj w pozycji horyzontalnej na jednej z sof. Wieczorami chętnie korzystał z uciech i brał udział w tamtejszych koncertach.

Dorobił się z tej okazji przydomku David Bowie. Jednego z wielu, tak naprawdę.

Dni mijały. Pan Kot w tym czasie dostarczał nam wielu rozrywek. Ile razy zdarzyło się, że zimą, chcąc kota zamknąć na noc, musieliśmy go siłą wynosić z Maneżu. Odholowanie futrzaka poprzedzone było piętnastominutową rozmową wypelnioną kolejno: prośbami, zachęcaniem, przekonywaniem, przekupywaniem, a wreszcie błaganiami. Nie obyło się bez widowni oczywiście. Klienci lokalu bacznie obserwujący całe zajście patrzyli na nas z politowaniem. Niektórzy mieli niezły ubaw, bo kot drgnąć ani myślał. Przywarł do kanapy i leżał. Trzeba było brać go siłą.

Bywało czasem, że kocisko stęsknione (czytaj głodne) wyczekiwało nas i misja

odbioru była już tylko czystą formalnością. Na dźwięk swojego imienia Pan Kot wydawał bezgłośnie „miau”, wstawał i z podniesionym, napuszczonym ogonem opuszczał lokal szybciej niż przebierając łapkami idąc tuż przy nodze.

Historii o tym indywiduum można przytaczać jeszcze wiele. Nie znam żadnego innego kota, co gonił się z lisem, a później jadł z nim z jednej miski. Lub wygrzewał się na maskach, ale tylko najdroższych samochodów (szczególnie gustował w Mercedesach). Nie znam też nikogo, kto tak soczyście strzelał focha (bo nie zjawiłam się piąty raz poprzedniej nocy, żeby wypuścić go na noc, gdy on akurat wtedy czekał).

Można powiedzieć „trafił swój na swego”. A ja Wam powiem: „trafiła kosa na kamień”. Taki to był aparat.

Przyszedł marzec. Pandemia. Garnizonowe lokale zostały zamknięte, a miasto opustoszało. Mimo zapewnionej opieki, Pan Kot wybrał się na najdłuższą wycieczkę w swojej karierze. Będąc duszą towarzystwa nudził się kawaler zapewne i poszedł na spacer, który trwa do dzisiaj. Jego absencja zbiegła się w czasie ze zmianami lokalizacji naszej działalności. Już nie zastaniecie nas w kontenerach. Teraz spotkacie nas w lokalu przy Leśmiana 11, w którym brakuje tylko JEGO.

Ewa



EWA PIĄTKOWSKA projektant, grafik i entuzjastka szeroko pojętej sztuki nowoczesnej, ale również koci sympatyk. Urodzona w Krakowie, gdzie ukończyła m.in. Szkołę Artystycznego Projektowania Ubioru (KSA/SAPU) w Krakowie. Zmęczona dusznym południem Polski, zmieniła miejsce pobytu na przewiewne Trójmiasto, a dokładniej na Gdańsk. Od 2012 roku, wraz z Dominikiem Wasilewskim, tworzy markę autorskiej odzieży streetwear znaną jako EVC DSGN. Mix prostych form, koloru oraz grafiki, który w nieszablonowy sposób interpretuje panujące trendy, to cechy szczególne ich kolekcji. Aktualnie, jako studio graficzne EVC DESIGN STUDIO, rezydują w lokalu przy Leśmiana 11 w gdańskim Garnizonie, gdzie, oprócz wspomnianych wyżej marek, mieści się concept galerii sztuki MAG/MODERN ART GALLERY.





Muzyczne lato vol.5

Muzyka na żywo **w każdy piątek.**
Startujemy od **26 czerwca, godz. 18:00.**

Bądź na bieżąco, sprawdzaj:
starymanez.pl  **StaryManez**



Organizatorzy:



Partner:

